

ZESZYT CZWARTY. ROCZNIK SZÓSTY.

SZCZĘŚCIE KOBIECE.

POWIEŚĆ

JANA ZACHARIASIEWICZA.

(CIĄG DALSZY)

ROZDZIAŁ V.

Gdyby jaki poczciwy diabeł kulawy, jak to się ongi działo, zerwał nam z małego domku ekonomskiego, który jak grzyb do pałacu przypierał, dach już i tak mocno nadpsuty, byłby nam otworzył widok dosyć trudny do zrozumienia.

Było to wieczorem, już po odjeździe Edmunda.

W ubogiej izdebce, na prostej ławie siedział stary człowiek z założonemi na krzyż rękami. Słabe światło łojowej świeczki oświecało ubogie sprzęty, tu i ówdzie bez ładu porozrzucane. Przed wypłowiałą dreliszkową sofką kulał stół prosty, o trzech nogach, otoczony kilkoma krzesłami, z których lepszą odzież już dawno zdarto. Na ścianie wisiał obraz Chrystusa, kupiony przed laty na odpuście Kalwaryi Pacławskiej. Artysta ludowy nie szczędził kolorów jak najjaskrawszych, aby majestat boży przedstawić jak najświetniej. Po obu stronach Chrystusa wisiały dwa inne obrazy, jak się zdaje pędzla tegoż samego artysty, wyobrażające Matkę Boga i z obnażonemi ramionami Magdalenę, z dyscypliną w ręku na znak pokuty.

Te były wybitniejsze ozdoby ściany, inne składały się z misternych tkanek pajęczyny i ciemnych smug, idących regularnie z góry na dół, utworzonych ściekiem wody, która przez dziurawy dach obficie podczas deszczu spływała. Podłoga była ułożona z prostych desek, gdzieniegdzie wygniłych, przez co tworzyły się zagłębienia, w których psy i koty składały kości niedogryzione.

Postać siedzącego człowieka mogła wybornie służyć artyście za model człowieka, walczącego z pierwszemi potrzebami życia. Wychudły, zżółkły, zgarbiony we dwoje siedział na ławie pod oknem. Twarz jego, przez tydzień niegolona, miała wszelkie przymioty szczotki; koszula gruba, z pokręconym kołnierzem, otwierała się na piersiach, odsłaniając brunatne, mocno opalone ciało. Wysokie juchtowe buty podobne były do małych sanek wielkomiastowych, w których wybornie mogłyby usiąść dwie osoby. Ręce grube, z wystającemi żyłami, uzupełniały ten obraz malowniczy, chociaż w dzisiejszem pojęciu mody nie bardzo wybredny.

Obok starego ekonoma, na małym stołku, siedziała kobieta, z pozorami wielkiego świata, i w prześliczne loczki konsztownie ubraną głowę tuliła do wyszarzałego kubraka swego sąsiada.

Światło łojowej świeczki łamało się kunsztownie w mieniących fałdach jedwabnej sukni, która tworzyła dziwny kontrast z tem wszystkiem, co ją otaczało. Cała postać, ruch, poza tej kobiety okazywały, że areną jej

życia jest salon wielkoświatowy. Wszystko tam było malownicze, trochę naturalne, trochę wystudyowane, ale w całości ładne i ujmujące.

Gdybyśmy w tej postaci kobiecej nie poznali Olgi, córki Burskiego, trudnoby nam wytłumaczyć taką scenę. Tak bowiem dziwny był kontrast między ojcem a córką, tak niepodobni do siebie byli oboje! Wychowanie zrobiło to.

Stary Burski miał zeschłą łzę na opalonej twarzy. Patrzał w oczy Olgi z jakiemś uczuciem, którego trudno było nazwać. W źrenicach było rozczulenie, na czole dwa fałdy gniewne.

— Cóż to się stało — rzekł odgarniając jej złote loczki z białej skroni — cóż to się stało, żeś sobie ojca przypomniała? Tydzień cały nie byłaś w tej izdebce, której powietrza obawiasz się, abyś go nie zaniosła we fałdach sukni jedwabnej na komnaty pałacowe! Hej, mój mocny Boże, gdyby to nieboszczka Elżbieta widziała!.. ale nie, lepiej, że nie widzi! Wypłakałaby oczy, że jej dziecko odebrano, od serca wydarto i w czci innych bogów wychowano! Ja to pojmuję. Ja sam wstydzę się, że jestem ojcem twoim; a są chwilę, w których nawet wolałbym, abyś umarła! Sprawiłbym ci pogrzeb, postawił nawet aniołka z kamienia na grobie, płakałbym, gorżkobym płakał za ukochanem dzieckiem mojem, ale wiedziałbym, że już umarło, że go nie mam! O tak... czyż ja wiem, że mam córkę, mam dziecię moje?..

Płacz tłumiony dał się słyszeć z piersi Olgi.

— Nie rozdzieraj mi serca, ojcze — odparła łkając — bo jemu już i tak nie wiele brakuje, aby pękło! Czyż cię nie kocham przywiązaniem córki, czyż nie czujesz po mych pocałunkach, że jesteś mi ojcem ukochanym?...

— Ty mnie kochasz, to prawda... ale gdy cię widzę na krużganku pałacu, otoczoną gośćmi pałacowymi, wtedy bije mi krew do twarzy, bo przechodząc popod krużganek, lękam się, aby kto z gości nie wskazał palcem na mnie i nie rzekł: Oto ojciec tej pięknej damy, która wygląda jak księżniczka, a jest tylko córką... Wierzaj mi, wtedy radbym umrzeć i nie zawadzać ci na świecie; możeby ludzie zapomnieli, kto był ojcem twoim, możeby ci przebaczyli, że się urodziłaś w ubogiej izdebce.

Duże dwie łzy spłynęły po opalonej twarzy Burskiego.

Olga zaszlochała głośniej. Przycisnęła rękę ojca do serca i rzekła:

— Nie chciej memu wychowaniu złorzeczyć ojcze, ono może tylko dla ciebie być pociechą i nadzieją, że na stare lata nie będziesz potrzebował żądać od ludzi miłosierdzia. W marzeniach moich zajmujesz zawsze pierwsze miejsce.

— O czemże marzysz?

Po twarzy Olgi przeszedł nieznaczny rumieniec. Spuściła oczy i milczała chwilę.

— Marzysz o zamążpójściu — mówił dalej ojciec — ale mnie się zdaje, że to marzenie nie wiele ci przyniesie. Gdybyś była została w izdebce mojej, gdybyś była od kucharza nauczyła się smacznie gotować, od ogrodnika sadzić dobre warzywa, zresztą czytać i pisać od bakałarza i organisty, uroda twoja przyciągnęłaby nie jednego lepszego oficyalistę, a może nawet główny leśniczy, który się w mieście z panną kamieniczną ożenił, byłby zapukał do drzwi moich i ciebie przed ołtarz poprowadził! Wtedy rzeczywiście miałbym u ciebie chleb łaskawy na stare lata moje, strugałbym szabelki dla waszych dzieci, lub uczył w lesie strzelać wnuka... a dzisiaj —

Olga podrzuciła głowę do góry.

— Wychowanie moje — odpowiedziała z pewną dumą — pozwoli mi w najgorszym razie zarobić tyle, ile żona leśniczego tobie ojcze daćby nie mogła!

Burski posunął się gniewnie na ławie.

— Cóż to — zawołał szorstko — czy myślisz, że należę do tych ojców, którzy dzieciom swoim na to dają lepsze wykształcenie, aby potem ssać ich krew i soki jak pasożyt? Czyż mam naśladować Mikołaja Dziembę, chłopa z Masłówki, który na to syna dawał do szkół, aby potem, gdy dochrapał się małej pensyjki, pójść do niego z matką i trzema ciotkami, i zamiast grochu i kapusty jeść flaki i wieprzowinę ze śliwkami? Biedny chłopiec chciałby się ożenić, a tak cały swój dochód, za który ośm godzin przy stole pisać musi, zjadają mu rodzice i ciotki!.. Nie, takiej spekulacyi z dzieckiem swojem nigdybym nie robił! A zresztą cóż chcesz robić? Chcesz uczyć cudze dzieci? Widziałem ja te biedne stworzenia po wielkich dworach! Prędzejbym wziął torbę na plecy i rękę do ludzi wyciągał, niżeli w ten sposób grosz zarobiony przez dziecko moje przejadał!

Olga patrzała zamyślonem okiem przed siebie.

— A nawet — mówił dalej Burski — gdybyś spotkała ludzi godnych i wyrozumiałych, którzyby pracę twoję ocenić potrafili, nigdybym nie widział w tem szczęścia twego. Szczęście kobiety nie zależy na tem, że siada do stołu, zastawionego pysznemi potrawami, że ma szaty drogie i z ludźmi wyżej położonymi może bawić się i rozmawiać. Każda kobieta wolałaby za to wszystko mieć skromne cztery kąty izdebki, a w tej izdebce kochającego małżonka i kochaną rodzinę. Czyż zniósłbym w takim razie, abyś zarabiając na chleb nauczycielstwem, wyrzekła się dla mnie prawdziwego szczęścia swego?..,

— A gdybym do tego zmuszoną była? — pocichu wyszepnęła Olga i przyłożyła rękę do serca.

— Wtedy — szybko odrzekł Burski — wziąłbym kij do ręki, poszedłbym w świat za oczy, abym ani kęsa tego chleba nie skosztował, na który dziecko moje zarabia.

Olga smutno spuściła głowę.

— Źle, bardzo źle się stało — mówił dalej Burski — że nieboszczka matka twoja umierając oddała cię do pałacu. Nad sierotami Bóg czuwa, możeby i mnie był dopomógł. A tak dzisiaj tylko jedna mara opanowała duszę moję. Gdybym wygrał na loteryi (stawiam co tydzień), lub wykopał skarb jaki z ziemi... wtedy uciekłbym ztąd z tobą o północy, jechałbym siedm dni i siedm nocy bez przerwy, ażbym gdzieś zajechał, gdzie mnie ludzie nie znają, gdzieby nie wiedzieli, że ojciec twój był prostym człowiekiem!.. Tam kupiłbym dobra jakie lub kawał ziemi, kazałbym felczerowi ściągnąć z siebie całą skórę ekonomską, skórę opaloną i popękaną, a gdyby natomiast odrosła biała i cienka, ubrałbym ją w drogie szaty, a stępając z góry i dmuchając przed siebie, udawałbym pana z panów! Wtedy brat sąsiad, poczuwszy grosz w kalecie, przyjechałby do ciebie w karecie, i zostałabyś jego najukochańszą małżonką. Takie szczęście miga mi czasem przed oczyma, i nie trwożę się wcale, że wraz z tem szczęściem pojawia mi się ów czerwony, malowany diabeł, któremu nasz pan w pałacu tyle atencyi wyświadcza. Zdaje się, że i jego trapi ta sama zmora co mnie, tylko innemi drogami idziemy. W drogach naszych mamy chyba tyle wspólnego, że w końcu spotkamy się zawsze — przed diabłem!

— Cóż znowu, ojcze, o diable mówisz? — ozwała się Olga — jest to tylko obraz, a nic więcej!

— Obraz, obraz! — powtarzał powoli stary Burski — czemże jest życie nasze, czemże nasze nadzieje, czem wszystko, jeżeli nie obrazem? A któż temu winien, jeżeli zamiast anioła namalują mu na tym obrazie diabła?

W tej chwili otworzyły się drzwi, a do izdebki wszedł stary lokaj w wytartej liberyi i oznajmił Oldze, że Adelaida powołuje ją do siebie.

Olga zerwała się ze stołka. Przykre uczucie przebiegło jej twarz, gdy lokaj poufale do ojca się zbliżył, w ramię go uderzył i tabaki zażądał.

Po wyjściu lokaja wstał Burski i rzekł z westchnieniem:

— Idź, córko, na komnaty pałacu. Ten sam drągal, który mnie ma za coś niższego od siebie, poda tam tobie na srebrnej tacy, w białych rękawiczkach, szklankę wody zdrojowej, którą ja czasem ręką czerpię!.. Idź tam poić się wonnem powietrzem, a ja tutaj w tej wilgoci będę tymczasem marzył o skarbach zaklętych, chociażbym w marzeniu mojem miał się spotkać z diabłem czerwonym, malowanym lub żywym!

Olga ucałowała jeszcze raz ręce ojca i furnęła z wilgotnej izdebki na pierwsze piątro pałacu.

ROZDZIAŁ VI.

Z izdebki do komnaty Adelaidy był spory kawał drogi. Potrzeba było przejść przez dziedziniec, wyjść po dwudziestu kilku schodach na piątro i przebyć drugi korytarz. Prócz tego trzeba było wstąpić do swego pokoiku, poprawić włosów i spojrzeć na twarz, czy tam nie ma śladów łez lub innych przebytych wrażeń w wilgotnej izdebce.

Wszystko to wystarczało aż nadto, aby w główce wprawnej do marzeń przebyć całą przestrzeń rozmaitych urojeń, jakiemi zazwyczaj karmi się dusza kobiety.

Olga odebrała wychowanie i naukę prawie równą z Adelaidą. Wychowanie to, jak zazwyczaj u nas, działało głównie na wyobraźnię i rozwinięcie tego, co nazwano uczuciem. Był to więc niejako kierunek literacko-artystyczny, jaki zazwyczaj w naszem wychowaniu przeważa.

Obie kobiety stosownie do swego usposobienia i stanowiska spożytkowały to wychowanie.

Adelaida, skierowana wcześnie przez matkę na drogę kunsztownych kombinacyi i chłodniejszych obliczeń, przyjęła wychowanie i naukę za pospolite środki, które ją miały do założonych celów doprowadzić.

Olga w krainę wiedzy i nauki weszła z naiwną ciekawością, postępowała raźno za cudownemi widokami otwierających się przed nią nowych horyzontów, i stanęła w końcu na pewnem wywyższeniu, zkąd wiele pięknych rzeczy widziała, ale zkąd ani na dół się spuścić, ani wyżej postąpić nie mogła. Ponieważ w nauce i sztuce stawiano jej zawsze przed oczy pewne ideały, przylgnęła więc duszą do barw idealnych, i niemi odtąd się karmiła.

Książki, które czytywała, powiadały jej zawsze, że kobieta jest ideałem życia, że za tym ideałem dążą wszyscy mężczyźni, że stosownie do tego ideału są mniej lub więcej szczęśliwi, co w dalszem znaczeniu stanowi kapitał społeczeństwa.

Olga od najmłodszych marzeń pracowała nad sobą, aby być takim ideałem. Co tylko mogło ten ideał ubrać w powabne szaty, co tylko mogło mu dodać pewnego, wypróbowanego uroku, wszystko to starała się nabyć i w sobie zgromadzić.

Pełna takiego idealizmu główka wierzyła zapalczywie w potęgę kobiety, któraby umiała się wznieść do wymarzonego ideału. Kobieta, mająca urok ideału, była u niej królową, przed którą otwierało szczęście swoje zawistne podwoje, przed którą zginało wszystko kolana, bez względu na stan i wyznanie.

Z niewypowiedzianym zapałem przyswoiła sobie wszystkie idealniejsze działy wychowania kobiecego. Grała, śpiewała, malowała jak artystka. Stosownie do tego idealistycznego kierunku jej umysłu, przybrała cała jej postać odpowiednią powierzchowność. Złote, w naturalne kędziorki uwite włosy odbiegły z czoła wtył głowy, aby odsłonić piękne skronie, na których drzały piękne światełka przelatujących myśli i marzeń kobiecych. Duże, szafirowe oczy przybrały wyraz zadumania, jak to widzimy w madonnach

najsławniejszych mistrzów włoskich. Ruchy jej były okrągłe i wdzięczne jak ruchy dziecka, które żadną sztuką nie psuje swoich naturalnych poruszeń. Każda jej poza była malownicza, w każdym kroku można było podziwiać wdzięk i urok niepospolitej kobiety.

Gdy w zwierciedle siebie ujrzała, mogła być zupełnie zadowoloną. Widziała tam obraz pięknej, pełnej wdzięków kobiety, zbliżonej wielce do ideała, o jakim często w książkach czytała.

Widząc się w gronie rówieśniczek swoich, mogła bez żadnej próżności powiedzieć sobie, że je przymiotami kobiecemi przewyższa, jak tego dowody miała w licznem nadskakiwaniu młodych i starych, i we frazesach, któremi dla niej szafowano.

Wszystko to złożyło się razem, aby w jej duszy wyrobić wiarę, że kobieta tylko podobać się musi, a reszta jest tylko konsekwencyą tego podobania. Że zaś podobać się może, utwierdziły ją w tem niektóre drobne sukcesy w salonie za granicą, chociaż do tych sukcesów nie przywiązywała żadnej wagi.

Wierzyła więc, że jej szczęście ominąć nie może, że prędzej czy poźniej spotka człowieka, na którym takie wrażenie sprawi, że od niej już się nie oddali. Rozumie się, że ten człowiek będzie zawsze stosownym do jej wychowania, że to nie będzie ani leśniczy, ani rewizor od straży skarbowej, o którym marzył stary Burski.

W takich marzeniach nie pominęła nigdy ojca. Cieszyła się, że będzie mogła dostatkami swemi wyrwać go z dzisiejszej pozycyi, przebrać go w lepszą odzież i powoli zasymilować z sobą.

Wprawdzie stan rzeczy w pałacu, odosobnienie od świata i ludzi, którzy w skład jej marzeń wchodzili, pokrzyżował trochę te marzenia, ale nigdy ich nie wykreślił. Przeciwnie, sześcioletnia samotność spotęgowała tylko te marzenia, i nachyliła je zupełnie do granicy rzeczywistości. Ponieważ dotąd żadnej walki z tą rzeczywistością nie stoczyła, ponieważ nie zadrasnęła jeszcze serca swego o wystające zdradliwe skały tej rzeczywistości, była przekonaną, że w życiu rzeczywistem można takie same proste drogi odbywać, jak w marzeniach nadpowietrznych.

Jedynym powodem, że dotąd marzeń swoich nie zrealizowała, było podług jej przekonania osamotnienie, był brak zupełny zetknięcia się z światem rzeczywistym.

Marzyła więc sobie, jak każda w ustroniu dojrzewająca dziewica, że gdyby tylko można w świat szerszy wyskoczyć, gdyby można było pojechać do wód, za granicę, lub na karnawał do stolicy, możnaby bardzo łatwo kogoś obaczyć, któryby się w złocistych loczkach i zgrabnej figurce zakochał, i którego możnaby nawzajem pokochać.

Że się to dotąd nie stało, winna była samotność.

Otóż właśnie w tej dobie spotęgowanego pragnienia i marzeń najgorętszych, w tej nieustannej walce snów i marzeń po nocach bezsennych, zjawił się w pałacu gość niezwykły, który choć w ogólnych zarysach podobny był do tych, o których marzyło jej serce.

Stary Burski przestraszyłby się marzeń córki, gdyby mu kto o nich powiedział. Wiadomo jednak, że kobiety więcej mają odwagi w marzeniach, niżeli mężczyźni, a doświadczenie stwierdza, że więcej kobiet niższego urodzenia dobiło się mężów nawet ze sfery panujących, niżeli mężczyznom w tych samych warunkach udało się ze sfer wyższych wykradzenie Sabinek.

Zresztą kobietom dostępniejsze są warunki, jakich od nich wymagają wogóle mężczyźni. Uroda, wdzięk, wykształcenie, talent — oto wszystko, co zdobi kobietę. Tym sposobem kobieta z dolnych warstw społeczeństwa może nawet niekiedy przewyższyć kobietę wielkiego świata, a wtedy dla jej marzeń nie ma granic, bo czuje słuszność, że tak samo mogłaby odegrać rolę księżnej, jeżeli książę mógłby się w niej zakochać.

Nie było więc w tem nic dziwnego, jeżeli Olga na widok Edmunda puściła wodze niewinnym, skrytym marzeniom; wszak te marzenia mogły stać się wieczną tajemnicą i z nią razem umrzeć! Czyż to która bądź kobieta nie miewała podobnych marzeń, nie marzyła o jenerale, pomimo, że poźniej poszła za wachmistrza?

Tym skrytym poruszeniom serca stanęło jednak coś w drodze. Olga miała obok siebie Adelaidę.

Gdyby Adelaida jej marzenia podzielała? Pierwszy ten szkopuł przebyła Olga szczęśliwie. Tyle nasłuchała się od Adelaidy, że jej wielkich, niezmiernych bogactw potrzeba, aby na stanowisku swojem żyć odpowiednio, a Edmund miał tylko mały folwark, któryby nawet w rachunek marzeń Adelaidy nie mógł wchodzić! Adelaida nie mogła się tutaj z nią zejść w marzeniach.

Biorąc jednak rzeczy z drugiej strony, któż może kiedykolwiek ręczyć za serce swoje, może być pewnym, że ułożone w głowie planiki nie rozwieją się na odgłos struny sercowej? Edmund mógł się każdej, nawet wybrednej kobiecie podobać, stosunek jego do Adelaidy jako krewnego ułatwiał mu wiele, bardzo wiele; cóżby w tem było dziwnego, gdyby Adelaida po pewnej walce z marami przodków swoich, rzuciła się w objęcia ubogiego kuzyna i przed ołtarzem z nim uklękła?

A niebezpieczeństwo to było bardzo prawdopodobne. Już pierwszego wieczora, gdy serce Olgi na widok Edmunda napełniło się jakiemś przyjemnem uczuciem, uczuła równocześnie obawę, że marzenia mogą być stracone. W istocie na to zakrawało. Edmund rozmawiał mile z Adelaidą, wpatrywał się w nią długo i z uwagą, a na nią patrzał tylko wtedy, gdy jaką odpowiedź jej dać musiał.

To oczywiste niebezpieczeństwo spotęgowało jeszcze

jej pragnienia. Z każdą chwilą biło żywiej jej serce, jej pierś podnosiła się tłumionem westchnieniem, bo zdawało jej się, że zaczyna krążyć nad przepaścią.

A to krążenie nad przepaścią już samo przez się jest dla kobiety taką roskoszą!..

Druga wizyta Edmunda dodała jej więcej otuchy Wprawdzie zaraz na wstępie powiedziała mu Adelaida, aby się ożenił bogato; ale to mógł być tylko zręczny zwrot ze strony Adelaidy, aby kuzynek od niej niczego się nie spodziewał.

Pobieżny ten domysł Olgi stwierdził Edmund następnem swojem zachowaniem się. Nietylko że po tych słowach od Adelaidy zupełnie się oddalił, ale nawet z pewną ostentacyą cały wieczór rozmawiał z Olgą, podawał jej kwiatki i robótkę, wracając ciągle do tematu rady, jaką mu dała, mówiąc, aby się zakochał.

Mogła to wprawdzie być niewinna demonstracya przeciw kuzynce, która przyjęła go z twarzą tak zimną, podała mu do uścisku rękę, z której wiało zimno marmuru; a może to była drobna walka podjazdowa, wydana kuzynce za jej srogą radę i zimne obejście się. Olga jednak nie mogła wyrzec się choćby chwilowego szczęścia swego. Przyjęła z bijącem sercem pierwsze zbliżenie się Edmunda, i starała się rozwinąć przed nim wszystkie bogactwa swojej duszy, które w tych latach samotnych nagromadziła.

Jakiekolwiek były pierwsze zamiary Edmunda, gdy do Olgi z pewną ostentacyą się zbliżył, po dwugodzinnej jednak rozmowie pożegnał się z nią z pewnem przyjemnem wzruszeniem, z jakiem się z nią wcale nie witał.

Nic więc dziwnego, że Olga po wyjeździe Edmunda zapragnęła izdebki ojca, że całowała ręce jego w jakiemś dziwnem rozczuleniu. Ona temi pocałunkami chciała mu udzielić swoich marzeń i rojeń, bo słowami wypowiedzieć ich jeszcze nie mogła.

Gdy stary Burski nad jej przyszłością utyskiwał, chciała już zwierzać mu się z marzeń swoich, ale słowa utknęły gdzieś w pół drogi, i zamiast nich wyszły inne o zarobku kawałka chleba nauczycielstwem.

Kiedy więc teraz wyszedłszy z izdebki ojca do komnaty Adelaidy się zbliżyła, tysiączne myśli i marzenia przemknęły przez jej piękną główkę, a były jakoś tak ciężkie, że ją trochę na lewe ramię pochyliły.

Adelaida siedziała na kozetce, oparta o poręcz. W dali, na stole świeciła się lampa, jedwabną zasłoną przyćmiona. Przymocowana do stołu leżała cytra, na której lubiła grywać Olga. Właśnie tę część stołu oświecał księżyc przez duże otwarte okno, a lekki podmuch przeciągu powietrza poruszał stalowe struny, które odzywały się głucho, jakby na nich grały duchy snujące się po promnieniach księżyca.

Gdy Olga do pokoju weszła, ujrzała cytrę oświeconą światłem księżycowem. W dali, w pół cieniu siedziała Adelaida, piękna i nieruchoma jak posąg z białego marmuru.

Olga obawiała się zapytać, poco ją wołać kazała. Rozmarzone serce zatrwożyło się, aby Adelaida czegoś nie odrzekła, coby je śród marzeń nagle zatrzymać mogło.

Nie pytając więc, po co ją woła, siadła Olga na krześle przy cytrze, założyła żelazny pierścień na palec i wzięła kilka akordów. W pełnem świetle księżyca wyglądała jak pokutująca księżniczka w zaczarowanym zamku. Jej duże źrenice patrzały z pod długich rzęs na siedzącą w milczeniu Adelaidę, która zdawała się jej nie widzieć.

Dźwięk struny stalowej obudził ją.

— Daj dzisiaj pokój graniu — rzekła głosem suchym i bez dźwięku — mów o czem ze mną.

Olga z uwagą patrzała chwilę na mówiącą. Twarz Adelaidy wyrażała głębokie zamyślenie, a marszczące się od czasu do czasu czoło znamionowało jakąś walkę wewnętrzną. Marszczeniu czoła odpowiadał ruch ust odpowiedni.

Jednej rzeczy obawiała się Olga, obawiała się zwierzenia. Gdyby Adelaida zwierzyła jej się nagle z marzeń swoich serdecznych, gdyby rzuciwszy się jej na szyję, wyznała bez ogródki, że uczuła miłość dla Edmunda, i od niej jako od przyjaciółki zażądała, aby się wraz z nią tem szczęściem cieszyła? Jak przykrą byłaby rola Olgi! Cóżby jej wtedy odpowiedzieć mogła? Cóżby zrobiła z własnem marzeniem?

Ze zręcznością właściwą kobietom postanowiła Olga skierować rozmowę do rzeczy jak najbardziej oddalonych od jej marzeń, z pomiędzy nich wybrać najwięcej poziome, a nawet trywialne, i tym sposobem zniżyć nastrój umysłów do pogadanki rodzinnej, która wszelką rolę na koturnie wyklucza.

— Nie uwierzysz Adelo — rzekła z uśmiechem — jak mnie dzisiaj ubawił Anatol, gdy ojciec zażądał poraz drugi kotletów, które on tymczasem już spożył naprędce, obawiając się Szymusia, który czyhał na nie!... Czyś to spostrzegła?

Marmurowe czoło Adelaidy zmarszczyło się.

— Zazdroszczę ci — odpowiedziała z ironicznym uśmiechem — że ty z dnia dzisiejszego nic nie zapamiętałaś, jak tylko kredensowy obrazek o zjedzonych kotletach!

Twarz Olgi lekko przybladła.

— Cóż innego miałam zapamiętać? — zapytała zcicha, a głos jej drżał, jak stalowa struna cytry.

— Szczęśliwą jesteś — mówiła dalej Adelaida — że poprzestajesz na drobnych rzeczach codziennego życia! Czemże są te rzeczy, które tylko z dnia na dzień mogą życie nasze utrzymać? Przecież człowiek nie jest gąsienicą, której liść zielony wystarcza póty, póki go nie zje zupełnie!

Olga głowę spuściła na piersi. Przeczuwała, że tok rozmowy zbliża się do rzeczy bardzo poważnych, między któremi dzisiejsza wizyta Edmunda mogła stanowić przedmiot główny. Po chwili ozwała się smutno:

— Ach tyle złudzeń doznajemy na wyżynach życia, że lepiej może nie sięgać tak wysoko.

— Złudzenia — odpowiedziała żywo Adelaida — mogą tylko być tam, gdzie są szczęśliwe marzenia! Gdzie zaś tych marzeń nie ma, gdzie być nie mogą... gdzie są wprost niemożliwe, chociażbyśmy czasem ich pragnęły, tam złudzenia nie masz, bo ono tam być nie może!

Adelaida powstała przy tych słowach i zaczęła chodzić po pokoju. Olga patrzała na nią z niepokojem.

Słowa Adelaidy uderzyły Olgę. Były wypowiedziane z jakąś ukrytą namiętnością, wychodziły z ust nie bez walki wewnętrznej, zostawiały w głębi duszy coś, co miało pozostać tajemnicą.

Sercem kobiecem przeczuła Olga niebezpieczeństwo. W ten sposób odzywająca się Adelaida musiała w głębi serca coś czuć, z czemś walczyć, coś ukrywać z całą siłą. Niepokój, z jakim przechodziła się teraz po pokoju, zdradzał rozdrażnienie wewnętrzne, którego ukryć nie mogła.

Cóżby to mogło być innego, jeżeli nie wrażenie jakiego doznała, rozmawiając dzisiaj z Edmundem.

Tak myślała Olga i zasmuciła się. Ona z nią równą bronią walczyć nie mogła.

— Mówisz, kochana Adelo — wyszepnęła zcicha jakby sama siebie uniewinnić chciała — mówisz, że jest pewna granica, gdzie marzenia nasze są wprost niemożliwe... w tem nie zgadzam się z tobą. Kiedyż bowiem zawisły marzenia od woli naszej? Czyż nie unoszą one nas mimo naszej woli, czyż nie stawiają nas często na takich wyżynach życia, z których nazad już wrócić nie możemy?

— Wierzę ci — odpowiedziała Adelaida chodząc ciągle po pokoju — wierzę ci, że marzenia mogłyby nas porwać na roskoszną wyżynę, z której powrót byłby albo niemożliwy, albo zbyt bolesny!.. Ponieważ jednak koniec końcem wrócić trzeba do naszej codziennej rzeczywistości, więc trzeba zawsze tę rzeczywistość mieć przed oczyma, a wtedy żadne, chociażby najroskoszniejsze marzenia nie są w stanie unieść nas z sobą.

Tu uderzyła Adelaida drobną nóżką o podłogę, jakby się chciała przekonać, czy rzeczywiście stąpa jeszcze po ziemi, czy złowieszczy demon marzenia z sobą jej nie porywa...

Zadowolenie, które w tej chwili zarysowało się na twarzy Adelaidy, okazywało jasno, że ten zły demon był już zwalczony, że niefortunne jego skrzydła już od niej odbiegły.

Jakby zmęczona tą walką lub upojona zwycięstwem rzuciła się na kozetkę i oparła piękne czoło o poręcz.

— Marzyć szczęśliwie — mówiła jakby do swoich myśli — byłoby słodko, bardzo słodko, gdyby nie żelazna ręka rzeczywistości! A rzeczywistość ta zawsze mnie rozdrażnia!

— Widzę, że jesteś rozdrażniona! — szepnęła Olga.

— Wierzaj mi, nic, zgoła nic innego nie rozdrażnia mnie, jak tylko zawsze jedno i to samo! A to jest: że siedzę w tej chwili tu, w komnacie pałacowej, zamiast tam, patrz, zamiast tam!

(Ciąg dalszy nastąpi)

Józef Narzymski.

W pierwszych dniach lipca roku 1872, jednocześnie prawie z smutną wieścią o niespodzianej śmierci Stanisława Moniuszki w Warszawie, z innej dzielnicy Polski, ze Szląska, rozniosły telegramy po kraju wiadomość o skonie męża, który mniej świetnie może geniuszem artystycznym jaśniał nam od nieśmiertelnego spiewaka „Halki“, równie dzielnym wszakże był bojownikiem czci narodowej, jak mistrzem słowa, a jako charakter obywatelski prawdziwą był gwiazdą współczesnym. Wiadomość o śmierci Józefa Narzymskiego nie była dla nas zresztą taką niespodzianką, jak żałobne echo z Warszawy; liczni zwolennicy i przyjaciele autora „Epidemii“ wiedzieli już od dłuższego czasu o stanie jego zdrowia, przez lat kilka bowiem trawiony suchotami gasł zwolna, a nieustanną pracą nadto jakby wyzywając chwilę fatalną przyspieszył sobie grób, który już Opatrzność skazała na to, aby był przedwczesny. W tej pracy jednak, ostatkiem sił dokonywanej, odsłonił nam zmarły właśnie najpiękniejszą stronę swej duszy. Niby Spartanin, do ostatka walczył z takim nawet wrogiem, jak wieczysta konieczność, aż go zaszła znienacka prawie, w drodze do Krakowa, gdzie wśród tylu drogich sercu polskiemu pamiątek spocząć pragnął.

Życie Józefa Narzymskiego, jakkolwiek krótkie, bo zaledwie 33letnie, tyle przedstawia przejść i wypadków, że poniekąd uważane być może za odbicie jednej epoki społeczeństwa, z którem zrósł i wśród którego działał. Los kraju bardzo wcześnie związał on najściślej z losem osoby swojej; 20letniego młodzieńca widzimy już w szeregu świadomych celu swego obywateli, a w kilka lat poźniej na czele ruchu, którego zadaniem było pozbycie się z kraju najazdu. Pochodzący z starożytnego, senator-

skiego rodu, nie hołdował Narzymski wcale zasadom tradycyi, przeciwnie: pierwsze wypadki na bruku warszawskim popchnęły gorące serce jego wprost pod sztandary „czerwone.“ Wkrótce po pamiętnym dniu 27. lutego r. 1861, którego był świadkiem i uczestnikiem jako członek obradującego naówczas w Warszawie Towarzystwa Rolniczego, wyjechał za granicę, gdzie odnowił dawniejszą swą znajomość z Mierosławskim i ściśle się związał z jego stronnictwem. W kierunku tegoż stronnictwa wpływał następnie na przebieg wypadków r. 1863 i 1864, w pierwszych już wszakże dniach powstania styczniowego dostał krwotoku, od którego datuje się właściwie choroba, co po dziesięciu latach złamać miała ostatecznie jego siły, wówczas zaś przeszkodziła mu wziąć zbrojny udział w walce. Uwięziony przez policyą warszawską, dla braku dowodów wkrótce odzyskał wolność i w październiku r. 1863 emigrował. Życie tułacze też, jak się zdaje, do reszty nadwątliło słabą już z natury konstytucyą; z rozwiniętemi suchotami wrócił Narzymski w r. 1868 do kraju, a osiadłszy w Krakowie przyjął udział w redakcyi założonego wówczas właśnie przez księcia Adama Sapiehę dziennika politycznego „Kraju“, w którym pracował stale aż do przejścia jego w inne ręce.

Narzymski, jako pisarz, był przedewszystkiem publicystą. Doświadczenie, nabyte w wirze wypadków, co wstrząsnęły do głębi społeczeństwem, wrodzona bystrość umysłu, a przytem wszechstronne wykształcenie, odniesione tak z domu rodzicielskiego jak i z zakładów naukowych krajowych i zagranicznych, wytworzyły zeń bardzo poważną inteligencyą, którą rzetelnemi zasadami i miłością kraju kierował zawsze ku ogólnemu dobru. Z drugiej strony wszakże wrodzona żywość uczucia i niepospolita siła wyobraźni pociągały go także w dziedzinę ideału, a utwory jego, jakiemi wzbogacił literaturę naszę dramatyczną, świadczą, że i na tem polu mógł iść o lepsze z fachowymi autorami. Właściwy jednak kierunek inteligencyi Narzymskiego przebija się i w utworach jego dramatycznych i belletrystycznych, gdyż takowe na wskróś są tendencyjnemi, a forma ich estetyczna widocznie służy autorowi tylko do wymowniejszego, obrazowego przedstawienia poglądów jego na stosunki chwili, i osiągnięcia przed oczyma widza pewnego założenia społeczno-moralnego. Z tego też powodu dzieła sceniczne Narzymskiego tylko wobec chwili bieżącej mają pełne znaczenie, już bowiem przyszła lub trzecia z rzędu generacya może nie będzie umiała zdać sobie sprawy z tego, co autorowi posłużyło za osnowę „Epidemii“ lub „Pozytywnych“, ile że śmiało wnosić można, iż tak gorączka giełdowa jak i kierunek pozytywny, jakie w tych czasach owładnęły umysłami, nie przetrwają naszej generacyi, tak łatwej w ogóle do chwytania się skrajnych pojęć i czysto realnych celów. Oprócz mnóstwa pism pomniejszych, artykułów politycznych i felietonów, pozostawił Narzymski po sobie kilkanaście prac większych, powieści i dramatów. Do pierwszych należą: „Ojczym“, powieść w zeszłorocznym „Tygodniku Wielkopolskim“ wydrukowana; „Pozory mylą“ powiastka, „Trzy miesiące“ studyum i „Dwie pary“ powieść napisana wspólnie z Władysławem Sabowskim. Z utworów scenicznych komedye: „Wielki człowiek powiatowy“; „Niekomiczna komedya“; „Pan Prezytent miasta Krakowa“ i „Pozytywni“, tudzież dramat „Epidemia“; wspólnie z Władysławem Sabowskim zaś napisane komedye: „Emigrant w Galicyi“ i „Poświęcenia“; w końcu tłumaczona z francuzkiego komedya „Na łasce zięcia“ i rozprawka „Historya scen w Polsce“ streszczona według rękopismu Estreichera.

Duch szlachetny, przenikający wszystkie te utwory, i gładka, a często piękna ich forma, zapewniają Narzymskiemu trwałe i zaszczytne stanowisko w literaturze; bezpośredni wszakże wpływ, jaki wywarł on osobistością swoją i udziałem w wypadkach współczesnych, bez wątpienia donośniejsze nadaje mu stanowisko w dziejach lat ostatnich jako obywatelowi patryocie, niż wyliczone utwory jako autorowi. Narzymski stworzony był, że się tak wyrazimy, do odegrania wielkiej roli politycznej, ku czemu wszelkie posiadał warunki jako talent, a zwłaszcza jako charakter; jeźli zaś tak wcześnie ustąpił z areny publicznej, błysnąwszy zaledwie pierwszym młodzieńczym zapałem, to przyczyna tego leżała jedynie w fatalnym zarodzie choroby, co utrzymać się mu nie pozwoliła na widowni czynu, przykuwając do łóżka i stolika.

Józef Narzymski urodził się 8. lutego 1839 w Rudzikach Małych, majątku rodziców swej matki, w Lipnowskiem nad Drwęcą. Ojciec jego Jan, a matka Katarzyna z Gręboszewskich. Z obszernej autobiografii jego, przesłanej krótko przed śmiercią jednemu z przyjaciół w Krakowie, powtarzamy za dziennikami niektóre szczegóły. Młodość spędził Narzymski w Bogatem, majątku ojca swego w powiecie Prasnyskim, która to wieś pozostawała w ręku Narzymskich od r. 1563, a przez Jakóba Narzymskiego, wojewodę pomorskiego, w XVIII. wieku upiększoną została. Babka surowych obyczajów i matka tkliwego serca a duszy czystej, patryotycznej, kierowały jego młodością. Był zawsze wątły, chorowity, i wiele pielęgnowania należało łożyć, aby go utrzymać przy życiu. W r. 1852 oddany do gimnazyum płockiego, ukończył ten zakład jako uczeń celujący w r. 1857. Wówczas ojciec jego ożeniwszy się raz drugi, usamowolnił go i oddał mu wieś Bogate i parę folwarków na własność. Po śmierci ojca, w r. 1859, Narzymski, pan znacznej fortuny, wyjechał do Warszawy, gdzie nie długo zamieszkał, wiele jednak stracił i pieniędzy i zdrowia w odmęcie życia stołecznego. W r. 1860 pojechał do Paryża, gdzie uczęszczał do Collége de France i często odwiedzał teatra, co podnosiło jego zamiłowanie do pisania utworów scenicznych. W r.

1862 powtórnie był w Paryżu, a następnie we Włoszech. W Belligerutto poznał się z Garibaldim. W tym czasie ożenił się z panną Aleksandrą Krajewską. Udział jego w wypadkach krajowych opowiedzieliśmy powyżej, kończąc więc to krótkie wspomnienie dodamy jeszcze tylko, że do Krakowa, zajechał do pobliskiego zakładu kąpielowego Jaworze, gdzie w nocy dnia 5. lipca życia dokonał. — Spokój duszy, jaki zachował do ostatniego tchnienia, najlepiej maluje nam list, stygnącą już ręką pisany do jednego z przyjaciół w Krakowie; zakończenie jego brzmi:



Józef Narzymski.

w jesieni r. 1871 złamany już zupełnie na siłach udał się do Meran, gdzie przebył zimę, ztamtąd zaś, coraz bardziej zapadając na zdrowiu, wyjechał do Wenecyi. Czując bliski swój koniec, opuścił i to miasto, aby wrócić do Krakowa; na stacyi Dziedzice jednak, na granicy Szląska, zachorował tak mocno, że nie mogąc już dojechać

„Żegnając drogiego Pana, dziękuję mu z duszy za wszystko. Adieu. Znajomym ostatnie pożegnanie. Serdecznie życzliwy i wdzięczny. J. Narzymski, d. 4. lipca 1872.“ Stosownie do życzenia zmarłego, zwłoki jego pochowano w dni kilka na cmentarzu krakowskim, w ziemi, którą tak gorąco kochał.

B. K.

ROCZNICE HISTORYCZNE.

Ciekawą jest rzeczą w dziejach ludzkich, że pewne zdarzenia, pociągające za sobą wielkie zmiany w ustroju społecznym lub politycznym, następują po sobie w pewnych odmierzonych czasu odstępach. Polega to zapewne na prawidłach nieodkrytych dotąd, według których się rozwija życie rodzaju ludzkiego. Prawidła nieodkryte, ale fakta są, a fakta te dały powód do różnych, mistycznych nawet i kabalistycznych wniosków i obliczeń.

Weźmy tylko jeden przykład: w siedm do ośmiu wieków po założeniu Rzymu powstaje chrześciaństwo; w takimże samym odstępie od powstania chrześciańskiego kościoła, zakłada Karol W. podwaliny nowego porządku w Europie, i w takimże samym niemal odstępie czasu od Karola W. wstrząsa Europą reformacya Lutra.

W związku z tem peryodycznem następstwem wielkich zdarzeń jest znaczenie pewnych lat, które zamykają i rozpoczynają peryody.

Jakkolwiek w bezustannym biegu zdarzeń dziejowych nie masz roku, nie masz miesiąca ani dnia, gdzieby nie zaszło coś, co z jednej strony jest wynikiem ważnych zajść w przeszłości, a z drugiej zarodem niemniej ważnych na przyszłość; jakkolwiek w tej mierze panuje pewna jednostajność w życiu dziejowem rodu ludzkiego i pojedyńczych narodów: to jednak nie możemy tego zapoznać, że pewne pory, pewne nawet miesiące obfitują w zdarzenia wielkiej doniosłości. Niepowinno nam się to wydawać dziwnem, gdyż najnowsze badania dziejów oświaty, statystyki i przyrody społeczeństw ludzkich wykryły, iż w zjawiskach, które zdają się zupełnie zależyć od woli ludzkiej, daje się przecież dostrzedz władanie jakichś prawideł, stojących za obrębem tej woli, owszem wpływających na jej usposobienie. W tych spostrzeżeniach jest szczególnie uderzającą pewna peryodyczność. Wszakże wiadomo, że ilość samobójstw wzrasta i zmniejsza się peryodycznie, że ilość zbrodni pewnych rodzajów powtarza się z małemi odmianami statecznie w pewnych peryodach i t. p.

Na tych samych prawidłach zdaje się polegać ważność pewnych dat w dziejach. Przechodząc szczegółowo dzieje naszego narodu dostrzegamy, że pewne pory, a nawet pewne miesiące obfitują w zdarzenia wielkiej doniosłości, jedne więcej w gwałtowne, inne bardziej w pokojowe.

Do takich miesięcy należy między innemi m a r z e c, czyli początek wiosny.

Zaraz w początkach dziejów naszych, wynurzających się z ciemnej pomroki podań bajecznych i niepewnych, odbija na tle nierozwikłanych jeszcze zupełnie dziejów i nierozjaśnionego należycie zamętu zdarzeń jedna dana pewna, która przynajmniej nie doznała jeszcze stanowczego zaprzeczenia.

Jestto dzień chrztu Mieczysława I., dzień
5. m a r c a 965.

Któż zaprzeczy, że dzień ten nabył przez to znaczenia dziejowego i cywilizacyjnego dla Polski?

Jakkolwiek to przyjęcie chrztu przez Mieczysława było tylko początkiem i zarodem całego szeregu przeobrażeń społecznych i politycznych w Polsce, i jakkolwiek jeszcze niejednę walkę musiała Polska staczać w swojem wnętrzu, nim tak wielka i stanowcza reforma obyczajów cały naród ogarnąć mogła: to jednak jest ten początek, właśnie dlatego, że jest początkiem nowej ery, początkiem samowiednego tworzenia się narodu i mocarstwa polskiego, jedną z najważniejszych chwil w życiu narodu.

Czyż trzeba się rozwodzić nad tem, jak wielkie miał następstwa ów ważny d z i e ń 5. m a r c a 965?

Jak każde wypowiedzenie pewnej stałej zasady w rządach i przyjęcie jej za podstawę dalszego działania, tak i to przyjęcie chrześciaństwa przez Mieczysława pociągało za sobą nieubłaganą walkę przeciwko dotychczas istniejącemu rzeczy porządkowi, równie jak nieubłagany opór ze strony przedstawicieli tego dawnego porządku przeciwko nowemu. I oto walka chrześciaństwa z pogaństwem, zniweczenie władzy dawnych kapłanów, zburzenie świątyń i bożyszcz, przewrót zupełny w stosunkach rodzinnych, bo jednożeństwo musiało zająć miejsce wielożeństwa, zmieniony zupełnie stosunek kobiety do mężczyzny. Pomimo tak ogromnych różnic między dawnemi pogańskiemi instytucyami, a nowemi chrześciańskiemi, zwyciężył przecież łatwo i szybko nowy duch cywilizacyjny.

Napotykają się wprawdzie jeszcze we dwa i trzy wieki poźniej tu i ówdzie niewykorzenione zabytki pogaństwa, zwłaszcza między ludem; jednakowoż były to już tylko błąkające się upiory, a w całem społeczeństwie szerzyło się coraz bardziej światło nauki miłości.

Wkrótce stała się Polska apostołem chrześciaństwa i katolicyzmu w tej części Europy. Chociaż bowiem pierwsze promienie chrześciaństwa błysnęły w Polsce ze strony Czech; chociaż Mieczysław został chrześcianinem przez czeską Dąbrówkę, a poźniej Czech, ś. Wojciech, był jednym z głównych apostołów chrześciaństwa w dziedzinach pod władztwem Polski zostających, albo pod nie dostać się mających; chociaż nawet chciwi władzy cesarze niemieccy poddali kraje polskie pod zwierzchnictwo biskupów pragskich: to jednak nie wyniknęła ztąd bynajmniej przewaga cywilizacyjna Czech nad Polską, ale raczej zawiązał się między temi krajami stosunek wzajemności. Stosunek ten wyradzał

się czasem w działanie nieprzyjaźne, ostatecznie jednakże odgrywały te obydwa narody wskutek wspólnego posłannictwa przez kilka wieków między ludami północno średniej Europy rolę przedstawicieli idei słowiańskiej.

Słowiańszczyzna, jako jeden z głównych czynników, obok romańskiego i germańskiego, w dziejach świata europejskiego, weszła właściwie dopiero na tor dziejowego swego znaczenia przez zaszczepienie chrześciaństwa w Polsce i Czechach.

Przyjęcie wiary chrześciańskiej przez Mieczysława miało nietylko znaczenie cywilizacyjne, ale i polityczne.

Pomijamy już to, że przyjmowanie chrześciaństwa przez pogańskich książąt bywało po większej części spowodowane politycznemi względami, mianowicie, aby pozyskać poparcie tak potężnej władzy papieża i duchowieństwa, a oraz i mocarstw rozszerzających swoję potęgę pod godłem chrześciaństwa; ale chociaż ten wzgląd odegrał niezaprzeczenie znakomitą rolę w niniejszym wypadku, chcemy na innego rodzaju polityczne znaczenie tego kroku zwrócić uwagę. Obok interesu dynastycznego i rzekłbym osobistego monarchy, miał krok ten to znaczenie, że położył podwalinę do utworzenia z Polski silnego mocarstwa. Dzieło to zostało dokonane dosyć rychło, bo już przez syna Mieszkowego: Bolesława Chrobrego.

Ponieważ jednak mówimy tylko o danych czasowych, a nie o dziejach wogóle, więc musimy na tem nadmienieniu poprzestać i przejść wprost do tego króla, którego tak trafnie nazwał Szajnocha odrodzicielem Polski.

Władysława Łokietka dzieje, tak pełne znaczenia i doniosłe dla Polski, zamykają się znowu datą marcową.

Napotykamy wprawdzie jeszcze między temi dwiema wielkiemi postaciami, zamykającemi okres tworzenia się i odrodzenia Polski jako mocarstwa, między Bolesławem Chrobrym a Władysławem Łokietkiem, historycznie ważne dnie marcowe, ale nie są one ani tak doniosłe, ani też nie znamionują przejścia ku lepszemu.

Mamy do zapisania dzień 15. marca, jako rocznicę owej doby, w której po smutnej pamięci długich rządach Mieczysława Gnuśnego, przez śmierć jego, dnia 15. marca 1034, nastał opłakańszy jeszcze okres rządów Ryxy, a raczej dalszego ciągu tychże, gdyż jeszcze za życia je dzierzyła. Nie będziemy się tu wdawać w ocenianie spornej kwestyi: czy rzeczywiście Ryxa była tak szkodliwą dla narodu, za jaką ją tradycya ogłosiła, przenosząca na potomne pokolenia niechęć, jaką ku niej powzięła ówczesna arystokracya; ale czy Ryxa winną, czy magnaci, zawsze był to smutny czas rozterek wewnętrznych, do których dziwnie się stosuje złowrogie imię królowej. *)

Z dniem 2. marca 1333 łączy się wspomnienie jednej z najważniejszych chwil w dziejach naszych. Umiera w tym dniu Władysław Łokietek i zostawia tron Kazimierzowi Wielkiemu. Kazimierz nie objął rządów zaraz po śmierci ojca, dlatego odkładamy wspomnienie o tym ważnym dla losów narodu dniu na jego rocznicę i pozostajemy tylko przy Łokietku.

Po tak pięknych i wyczerpujących pracach, jakie posiadamy o panowaniu tego króla z pióra pierwszorzędnych naszych historyków, byłoby zuchwalstwem chcieć kreślić charakterystykę tej epoki.

Zapisujemy tylko zdarzenie i ograniczamy się na podniesieniu tej okoliczności, że Łokietek pozostawił Kazimierzowi Wielkiemu Polskę jako mocarstwo, i chociaż przysłowie ludowe twierdzi, że Kazimierz W. objął Polskę drewnianą, to jednak objął ją całą, spojoną i zjednoczoną, i mógł z niej stworzyć murowaną.

Śmierć Łokietka wzbudziła żal u współczesnych, jak śmierć każdego monarchy, który podniósł kraj do świetności; ale ze stanowiska dziejowego jest śmierć króla, który swego posłannictwa dokonał, a otwiera pole następcy jeszcze większemu, zdarzeniem, które nie może takich uczuć wzbudzać, jak u współczesnych, ale uprawnia imię jego do dziejowej apoteozy.

Władysław Łokietek był jednym z wielkich królów Polski, i panowanie jego jest nietylko dla historyka, ale i dla polityka przedmiotem do studyów, którym godzi się poświęcić wiele pracy.

Jakkolwiek Łokietek zmarł w wieku bardzo sędziwym, bo miał lat 73, to jednak był on do ostatniej chwili czynnym w sprawach publicznych.

Śmierć króla nastąpiła po zawarciu pokoju z krzyżakami i poskromieniu Szlązaków. Może zawarcie pokoju z krzyżakami, których chciwość i wcale niechrześciańskie postępowanie z sąsiadami zwiastowało już wtedy niebezpiecznych dla Polski wrogów, nie było politycznem, zwłaszcza gdy oni sami o ten pokój prosili widocznie tylko dlatego, żeby się nanowo wzmocnić do nowych zaczepek: jednak nie można bardzo winić króla w tej mierze, bo zniewalały go do tego z jednej strony względy na Papieża, który się domagał pokoju z krzyżakami, z drugiej zaś strony potrzeba zrobienia dywersyi niemniej wówczas niebezpiecznemu sąsiadowi, królowi Janowi Czeskiemu, co właśnie się stało przez owo poskromienie Szlązaków.

Niepierwszy to i nie ostatni raz wywarło papiestwo wpływ szkodliwy narodowi na politykę naszych królów. Może, gdyby Władysław Łokietek nie był tak uległym wpływowi papiestwa, byłoby się udało w samym zarodzie stłumić ową tak niebezpieczną i zgubną potem potęgę

*) Rixa (kłótnia) bodaj czy nie jest rozmyślnem przekręceniem pierwotnego imienia.

krzyżactwa. Tak to niejeden krok, który się współczesnym przedstawia jako roztropny i wielce polityczny, okazuje się potomnym czasom jako błąd polityczny.

Nie ujmuje to wszakże Łokietkowi jego wielkiego dla Polski znaczenia i nie umniejsza jego zasług.

Dla tego pozostanie rocznica 2. marca (1333) zawsze jednym z dni pamiętnych w dziejach naszych.

Nie napotykamy długo w dziejach naszych pamiątkowych dat przypadających na marzec, przynajmniej nie masz tak ważnych, któreby miały wpływ i znaczenie dla całego narodu, aż dopiero w ostatnej dobie nieszczęść, w XVIII wieku, i to przy schyłku tegoż.

Nie uważamy za rzecz godną pamięci narodowej zerwania tego lub owego sejmu, przypadającego na ten miesiąc, lub darowizny uczynionej z ziem szląskich na rzecz krzyżactwa przez Henryka księcia na Raciborzu i Opolu; jakkolwiek bowiem i te zdarzenia pozostawać powinny w pamięci naszej, to nie są to jednakże takie chwile, któreby warto było uwiecznić jako uroczyste rocznice.

Dla tego zwracamy się do dni pamiątkowych z ostatnich chwil naszego życia politycznego.

Szereg tych rocznic zaczyna się z ostatnim lat dziesiątkiem minionego wieku.

Po dokonaniu pierwszego podziału zaczęto się zapoźno krzątać około „naprawy rzeczypospolitej“, o której już dwa wieki przedtem pisali nasi pierwszorzędni pisarze, (między innemi najgruntowniej Frycz Modrzewski). Aliści choć poźne, były to zawsze usiłowania uczciwe.

Sejm czteroletni dokonał wiekopomnego dzieła, które wszakże miało być tylko uświetnieniem nagrobka ojczyzny.

„Już przedsejmowe sejmiki dały niezwykłe podówczas instrukcye, aby wojsko powiększono i na takowe podatków nieszczędzono; tą razą naród cały wołał o reformę i pragnął przywrócenia go do niepodległości; stało atoli na przeszkodzie prawo jednomyślności, przepisanej gwarancyą Moskwy z r. 1768; aby tedy tego sejmu intryga i liberum veto rozwiązać nie mogły, nazajutrz tenże po otwarciu zamienił się w sejm skonfederowany.“ Tak pisze jeden ze współczesnych.

Zapoźno było, a jednak i to ocknienie się ducha narodowego wzbudzało w sąsiadach, czyhających na zdobycz, z jednej strony obawę, z innej cześć.

Obłudny zawsze i podstępny, niegdyś przybysz nie zasłużenie obdarzony polskiemi ziemiami, poźniej lennik, ostatecznie zdrajca, udawał w tej chwili przyjaciela i sprzymierzeńca.

Król pruski, Wilhelm II., oświadczył rządowi Rptej, że gwarancya Rosyi nie powinna w niczem ubliżać wolności i niepodległości Rptej, i zawiera dnia 29. marca 1790 przymierze z Polską, z przyrzeczeniem czynnej pomocy ze strony Prus, gdyby Rpta z powodu przedsięwziętych ulepszeń wewnętrznych zaczepioną być miała.

Tegoż samego dnia, 29. marca 1790, sejm zatwierdza przedstawiony mu przez deputacyą, w tym celu wybraną, projekt konstytucyi, nazwanej potem od dnia zaprzysiężenia jej konstytucyą 3. maja.

W roku 1793 dokonały też same Prusy, które przed trzema laty zawarły w Rptą przymierze, wspólnie z Moskwą drugiego podziału ojczyzny.

Smutna ta rocznica przypada także w marcu. Dnia 27. marca 1793 zajmują Prusy: Gdańsk i województwa Poznańskie, Gnieźnieskie, Kaliskie, Sieradzkie i Łęczyckie; Częstochowę, ziemię Wieluńską, część Rawskiego i Toruń.

Dnia 29. marca 1793 zajmuje Moskwa ziemie od końca Kurlandyi około Pińska przez Wołyń, aż do granicy Galicyi.

Jeszcze jedna rocznica z ostatnich chwil istnienia Rptej przypada na marzec, a jestto zarazem rocznica rozpoczynająca nowe życie, jakiem naród żył i żyje dotąd w całej porozbiorowej epoce.

Dnia 24. marca 1794 uchwalono i ogłoszono w Warszawie akt „generalnego narodowego powstania“, mianowano Tadeusza Kościuszkę naczelnikiem z władzą dyktatorską.

Mieszczaństwo i lud wiejski stanął do szeregu walczących, a sprawa polska stała się odtąd sprawą całego narodu.

Na tem kończymy nasze wspomnienie o rocznicach przypadłych w miesiącu marcu. Z czasów porozbiorowych można wiele różnych takich danych przytoczyć, które nam czynią drogą pamięć tego lub owego dnia. Czasy te są jednakże tak bliskie, i tak nas w nich każde drobniejsze zdarzenie żywo obchodzi, że nietrudno popaść w błąd przypisywania zbyt wielkiej wagi zdarzeniom, które przy dokładniejszem roztrząsnięciu i w innym czasie okażą się mniej ważnemi dla losów narodu i przeciwnie. Dlatego pozostawiamy to rozpatrywanie dat pojedyńczych i ocenienie ich ważności dla narodu innej pracy i innemu czasowi.

Z życia Szlachcica.

A. GROTTGERA.

I.



Od lat najmłodszych przywykali oni
Do walk i trudów, do miecza i siodła;
Toż ich źrenica bystra nie zawiodła,
I wróg ich ciężkiej nie uchodził dłoni.

Jak dzieci Sparty, kwiat swych lat swawolnych
Na służbę kraju dawali co wcześniej;
Dzisiaj nie mają nawet grobów wolnych!
Lecz będą wiecznie żyli — w wolnej pieśni.

WŁ. ORDON.

POJEDYNEK AMERYKAŃSKI.

POWIASTKA

PRZEZ

WOŁODEGO SKIBĘ.

I.

Niech co chce będzie, ale zawsze daleko to zaszczytniej dla kobiety, stać się bohaterką romansu przed ślubem, niż po ślubie. Słuszność tej pobieżnej uwadze, która mi się niechcący na początek nasunęła pod pióro, chętnie zapewne przyzna każdy, bardziej oczytany w powieściach. Z drugiej strony za to, romans zaczynający się po ślubie zwykł budzić więcej interesu. Jest tam jakiś smak zakazanego owocu, do którego ludzkość cała czuje pociąg wrodzony, odziedziczony, jak się zdaje, jeszcze po pierwszych swych rodzicach. Czytelnik powieści wprawdzie sam tego owocu nie kosztuje, dowiaduje się tylko, że inni go kosztowali, że im smakował, że na nich ściągnął następnie skutki okropne, podobne do tych, jakie wywołało onego czasu w raju pierwsze jego spożycie; czasem w powieści nie ma nawet i tego, jest tylko historya o tem, że ktoś miał jakiś zakazany pociąg, jakiś niedozwolony apetyt, że z tą chętką walczył i że ją w sobie pokonał, ale opowiadanie tej historyi staje się mimo to bardziej zajmującem, więcej poszukiwanem od wszelkich dziejów pragnień i zachceń dozwolonych, uprawnionych, legalnych, od wszelkiego przedślubnego romansu, odbywającego się na drodze, u kresu której stoi ołtarz.

Powieść jest taką, jakiem jest życie, i gdyby w życiu wszystko działo się przed dojściem do ołtarza, zapewne nigdy powieściopisarzom nie przyszłoby na myśl, i po za ołtarz wzrok badawczy zapuszczać. Niestety! doświadczenie uczy, że z biegiem czasu, jakby w miarę robionego przez ludzkość postępu, coraz mniej przedstawia interesu to, co się dzieje z tej strony ołtarza, a coraz częściej zaglądać potrzeba na tamtą stronę. Powieści przez to stają się ciekawsze, ale czy to jest dobrem znakiem, o tem wątpię.

Zapraszam dziś z sobą czytelników na tamtą stronę tego Rubikonu. Powieść moja zaczyna się dobrze już po ślubie pana Witolda Rolickiego z panną Wandą Szaniecką.

Przedślubne ich dzieje były takie proste i zwyczajne, że nie dałaby się z nich zlepić nawet trójćwiartkowa powiastka. Wanda należała do pięknych i posażnych panien w jednem z wielkich miast; Witold ukończywszy uniwersytet i otworzywszy biuro adwokackie, zaliczony został niedługo przez opinią publiczną do najprzystojniejszych i najwziętszych pomiędzy młodszem pokoleniem jurystów, którzy obrali sobie za zawód adwokaturę, to jest w mawianie w niemającą zwyczaju używać własnych oczu Temidę, że czarne jest zielonem, a zielone białem. Wanda miała nie mały orszak wielbicieli, w liczbie których znajdował się i nasz adwokat, a znowu wielu rówieśniczkom Wandy i jej samej mocniej zaczynało bić serce, gdy na którą z nich padł wzrok naszego adwokata. Gdy na oboje przyszła chwila poważniejszego zastanowienia się nad przyszłością, co się u panien trafia około ośmnastego roku życia, a u kawalerów o jakiś dziesiątek lat poźniej, Wanda uznała, że ze wszystkich hołdów, jakie jej oddają, najmilsze jej są hołdy pana Witolda; a Witold przyszedł do przekonania, że jakkolwiek przyjemnie mu jest, że się wiele twarzyczek na jego widok rumieni, nigdy jednak przyjemność ta nie jest żywszą, jak wówczas, kiedy taki rumieniec na twarzy panny Wandy spostrzeże. Oczywiście nie mógł przenieść na sobie, żeby jej tego nie powiedział, stylem jak najmniej jurystycznym, na jaki zdobyć się potrafił; a ona dając mu jeszcze jednę próbkę tego tak ulubionego mu rumieńca, odpowiedziała... to jest, nic nie odpowiedziała na razie, ale spojrzała tak przychylnie, że odpowiedź doprawdy byłaby zbyteczną.

W parę dni potem nastąpiły formalne oświadczyny rodzicom, w parę tygodni potem formalne zaręczyny, a w parę jeszcze miesięcy poźniej, po odbyciu formalności wezwania z ambony tych, którzy wiedzą o jakich przeszkodach, ażeby dali znać do parafii, okazało się, że nikt o żadnych przeszkodach nie wiedział, i odbył się ślub najformalniejszy.

Ci, którzy wspólnie z Witoldem składali hołdy swoje pannie Wandzie, byli w dniu tego ślubu w bardzo kwaśnym humorze, a te, które wspólnie z Wandą rumieniły się na widok pana Witolda, były czegoś zirytowane, co nie przeszkodziło pierwszym stanąć za drużbów panu młodemu, a drugim za druchny pannie młodej, i życzyć im w zawartym związku tyle szczęścia, że gdyby losy tem szczęściem piętnaście par małżonków obdzieliły, zapewneby go każdej aż do złotego wesela wystarczyło.

Po ślubie zaczęła się epoka miodowa, która trwała dłużej niż zazwyczaj trwać zwykła. Państwo młodzi pooddawali wprawdzie podczas tej epoki obowiązkowe wizyty i poprzyjmowali je nawzajem, ale nie otworzyli domu, stosunki swoje ograniczyli do szczupłej i koniecznej prawie miary, przyjmowali kilku żonatych, starszych kolegów Witolda, komunikowali się z krewnymi, zresztą żyli w zaciszu, a czasem po kilka dni z rzędu nikt nie zamącił ich błogiego spokoju, w którym zupełnie wystarczali sobie.

Dopiero na początku drugiego roku takiego pożycia ukazała się na horyzoncie ich małżeństwa osóbka, bez której nie byłoby tej mojej powiastki.

II.

Powiedziałem „osóbka“, i nie cofam wyrażenia. Trudnoby gdzie wynaleźć roskoszniejszą miniaturkę sędziny, nad drugą żonę pana sędziego Anzelma Korowskiego, który w rok właśnie po ożenieniu się Witolda przeniesionym został do miasta, będącego widownią mojej powiastki, i jako dosyć bliski kuzyn mojego bohatera zawiązał z nim i jego żoną stosunki. Sędzina Korowska była milucłnym liliputkiem, którego drobne kształty jeden więcej i wcale niepośledni wdzięk stanowiły, tak dalece, że sama tego nie mogła nie spostrzedz, i że nie miała wcale urazy do losów, iż jej poskąpiły wyższego wzrostu. Inne panie, znajdujące się w tem położeniu, nie umieją się z niem pogodzić, wchodzą w tajny układ z fabrykantami obuwia, i sztukują się jak mogą za pomocą korków i innych tego rodzaju przystawek, które w ostatecznym rezultacie co dodadzą do wzrostu, to ujmą harmonii całej postaci. Drobniuchna sędzineczka nie cierpiała niewoli, na jaką się skazywały jej rówienniczki wzrostowe; dumna była swoją małością, z którą się one jak z kalectwem kryły, i zyskiwała na tem to, że była naturalną, gdy tamte były podrabiane.

Ta naturalność leżała zresztą w jej charakterze. Ani kryć się z niczem ani udawać nie potrafiła wcale. Żywa jak iskra, wesoła do trzpiotowstwa, lekkomyślna do niedorzeczności niekiedy, rozpieszczona najprzód przez rodziców i rodzeństwo, które się nią aż do zamążpójścia jak laleczką bawiło, poźniej przez męża, który każde jej zachcenie spełniał i każdemu skinieniu był powolny, nie mogła się naturalnie w młodszych latach wykształcić gruntowniej, ani poźniej kiedykolwiek pomyśleć nad sobą i zastanowić się nad zadaniem życia. Była płytką i powierzchowną, wszystko to jednak wynagradzała albo pokrywała jej naturalność, szczerość, pustota, za wszystko płaciły jej nieocenione minki, dziecięce prawie żarty i pieszczoty.

Dla Wandy była ona towarzyszką dobraną wybornie, właśnie z powodu kontrastu, jaki stanowiły ich charaktery. Pani Witoldowa należała do tych piękności, których wdzięk najlepiej się wydaje przy poważnym wyrazie twarzy, i którym wrodzone usposobienie prawie zawsze pozwala być pięknemi. Rysy jej klasyczne, najodpowiedniejsze były do tego wyrazu seryo, jaki przybierała najczęściej, a którego suchość i sztywność lekki, przelotny, mam nawet prawo powiedzieć, poważny uśmiech od czasu do czasu łagodził. Ten wyraz nie był sztuczny, lecz wypływał z naturalnej skłonności do poważniejszego myślenia. Wanda kształciła się z ochotą, lubiła czytać, chętnie nawet szukała poważniejszej lektury, nie lękała się poważniejszej rozmowy, zastanowienia się i zgłębienia przedmiotu, który się jej myśli nasunął. Sędzina, gdy się z nią poznała, wydała jej się naprzód czemś niepojętem, poźniej, gdy rozwiązała jej zagadkę, gdy ją zrozumiała i pojęła, polubiła ją jako urozmaicenie swoich chwil i zabawkę.

— Chce mi się śmiać z niej czasem — mówiła nieraz do męża — niekiedy prawie jej zazdroszczę... radabym ją przerobić, a widzę, ża ją dlatego tylko lubię, że jest taką, jaką jest.. Dziwię się mężczyznom, którzy się w niej kochają, a przypuszczam, że gdybym była mężczyzną, tobym się w niej zakochała.

W istocie wszyscy mężczyźni, którzy się kochać jeszcze mogli, kochali się w sędzinie na zabój, i drobna zamężna istotka niejednej dorodniejszej i okazalszej od siebie rywalce stałego odebrała wielbiciela. Sędzina Anzelmowa była w swem młodem życiu przedmiotem tylu westchnień, że połączona ich siła mogłaby zdmuchnąć z oblicza ziemi jej miniaturową figurkę.

Ten orszak wydawał jej się tak naturalnym i koniecznym, że z całą swobodą o swoich tryumfach rozmawiała, częstokroć przy mężu i wobec tych, którzy najczulej do niej wzdychali. Ta swoboda, nieraz w najkłopotliwszem położeniu stawiająca należących do orszaku, była dla nich wskazówką najlepszą, że e n p u r e p e r t e ekspensują swoje uczucia, że w najszczęśliwszym razie dostarczają tylko karmi dla nieprzebranej wesołości swojej wybranki. Tym jedynym podobno sposobem pani Anzelmowa wzdychające zastępy utrzymywała w przyzwoitem od siebie oddaleniu.

I nie wystarczało jej to, że sama miała wielbicieli, którzy jej mówili lub bardzo wyraźnie dawali do zrozumnienia, że się kochają; zdawało jej się, że każda młoda mężatka takim rojem hołdowników otoczoną być powinna. Wyjątek pod tym względem dopuszczała tylko dla brzydkich.

— Moja droga — rzekła do Wandy za trzecią czy czwartą wizytą — masz ślicznie umeblowane mieszkanie, aż ci zazdroszczę... cóż, kiedy do garnituru mebli niektórych sprzętów brakuje...

— Jakto? — spytała pani Witoldowa, zdziwiona nieco — czegoż brak tak rażący dostrzegłaś?..

— Wielbicieli, mój aniele, kochanków, wzdychaczy, ubóstwiaczy... Ja nie pojmuję, jak ty żyć możesz... kilka razy już tu byłam i nic podobnego nie spostrzegłam... ani jednego!... ależ to przynajmniej trzech zamało...

— Mam męża — uśmiechnęła się Wanda — i to dopiero od roku...

— Masz męża i to już od roku, jak sama powiadasz... Otóż widzisz, przedewszystkiem mąż się nie liczy, a powtóre mnie się pierwszy adorator oświadczył w godzinę po ślubie, więc widzisz, że się o wiek cały spoźniłaś...

— Mąż mi wystarcza.

— Na męża, bardzo pojmuję, zupełnie jak mnie mój poczciwy Anzelmisko, choć dwa razy przeszło starszy odemnie, ale na wzdychacza, ubóstwiacza, wielbiciela, nigdy... Najprzód mąż nie jest wcale do tego, powtóre kobieta nie jest piórkiem, choćby była taka mała jak ja, i może wytrzymać westchnień daleko więcej, niż jedna pierś wyprodukuje. Nie! tak dłużej zostać nie może; zastanów się tylko, jak to miło być owzdychiwaną ze wszystkich stron... ça remplace l'éventail, c'est si commode!... I wierzaj mi, najlepiej zacząć odrazu przynajmniej od dwóch... Ja raz na wsi miałam tylko jednego... wystaw sobie, była to wies, gdzie dwóch na żaden sposób znaleźć nie było można... takie już położenie jeograficzne.. Otóż miałam jednego, i znudził mnie okropnie.. Jak jest dwóch, to choćby byli najnudniejsi, zabawnie patrzeć, jak się mierzą wzrokiem kugucim... A! wiesz, Wandziu jedyna, przychodzi mi doskonała myśl.

— Ciekawam...

— Tylko wyspowiadaj mi się najprzód, ale szczerze, ze skruchą, z mocnem przedsięwzięciem powiedzenia mi prawdy, i z doskonałym żalem... uważasz z doskonałym... Ksiądz Prosper mówił na kazaniu, że niedoskonały nie jest taki doskonały, jak doskonały... więc z doskonałym żalem, żeś mi się dotąd nie zwierzyła, wyspowiadaj mi się.

— Z czego?

— Czy ty naprawdę nie masz ani jednego, czy też się z nim tylko kryjesz przedemną?..

— Ależ, Julciu — przerwała pani Witoldowa.

Sędzinka, której na imię było Julia, o czem we właściwem miejscu nie nadmieniłem, nie miała zwyczaju pozwalać sobie przerywać.

— Poczekaj, nie mów nic, jeszcze nie skończyłam.. quand j'aurai fini mon exhorte i zapukam w konfesyonał, możesz zacząć się oskarżać, jeżeliś się dobrze obrachowała z sumieniem. Chciałam dodać komentarz do tego, com powiedziała. Z dwóch przyczyn mogłaś się kryć, albo dlatego, że się wstydzisz... w takim razie to bardzo źle, jesteś hipokrytka, gniewam się na ciebie... a kiedy go chcesz ukryć przedemną, toś gotowa kryć i przed mężem... Albo też kryjesz się, bo się boisz, żebym ci go nie zbałamuciła, a to jeszcze gorzej... Musiałby mieć w oczach szkiełka od mikroskopu zamiast źrenić, żeby mnie mógł dojrzeć przy tobie...

— Zabawna jesteś...

— Nie idzie o to, jaka ja jestem.. nie ja się spowiadam, tylko ty... No cóż?.. masz jakiego, czy nie masz?..

— Ależ doprawdy nie mam i nie chcę mieć...

— I nie chcesz mieć... a wiesz, że to nieocenione!.. nie chcesz mieć... bawi mnie ten twój upór, Wandeczko... zupełnie tak, jakbyś powiedziała, że nie chcesz, żeby jutro był piątek... Ty musisz mieć jednego, a jak się jeden znajdzie, to już o drugiego nietrudno... nie uwierzysz, jakie to zabawne... Poczekaj... żebyś długo się nie wahała... wykonam myśl, co mi przyszła... mam ich teraz trzech... ce n'est pas trop, mais que faire, jagódkąbym się z tobą podzieliła; pan Kornel najlepiej mi się podoba, je t'en fais cadeau, będziesz go miała od pojutrza...

— Więc ty ich rozdarowujesz jak cacka?..

— A czemże oni więcej są, jak cackami?.. Są podobno kobiety, które ich biorą na seryo... ja nie mogę... czasem chcę, ale doprawdy nie umiem... Próbuję przybrać poważną minę... słucham... on mówi, głowa mu pała, oczy mgłą zachodzą, głos drży, ręka majestatyczne robi gesta... zapał, boleść, uniesienie, zazdrość, skarga na los, nadzieja, prośba, rozpacz, zwątpienie, wszystko po kolei, jak klawisze fortepianu w pasażu, odzywa się w jego przemowie... staram się okazać, że mnie to przejmuje, wzrusza, przenika, penetruje, ale z trudnością tłumię śmiech... Nareszcie on klęka...

— A ty?...

— A ja robię nad sobą heroiczne wysilenie i jeszcze pozostaję poważną... Powiadam do niego: „Panie... panie...“ Nie pamiętasz, jakie mu dałam imię?..

— Nie dałaś mu żadnego...

— A więc: „Panie jakibądź... dosyć... wstań pan... ja nie powinnam słuchać pana...“ Wtedy on rozkrzyżowuje ręce i woła: „Ale mnie słuchasz, aniele, o dzięki ci, dzięki ci pani!“ Porywa moję rękę, tuli ją do ust, a ja drugą ręką wyjmuję z kieszeni chusteczkę, i niosę ją... także do ust, bobym już nie wytrzymała dłużej bez jej pomocy... Ale chusteczka nie pomaga, zaczynam się śmiać głośno... wtedy on się zrywa.. spogląda na mnie takim ucieszným wzrokiem, że tego nawet wypowiedzieć niepodobna; mówi mi, że jestem zimna, nieczuła, bez serca, lód, głaz, dyament ko-hi-noor, co świeci jak słońce a nie grzeje, że drwię sobie z jego rozpaczy; przysięga, że mnie nie zobaczy więcej, i zostaję wolną od niego na dwa tygodnie... Z tego wynika, moja Wandziu, że do takich scen dopuszcza się tylko wtedy, jak się chce którego pozbyć na parę tygodni... Ale ty to i bez moich nauk będziesz umiała, moja droga; żegnam cię zatem, a pana Kornela będziesz miała pojutrze na wyłączną twoję własność, daję ci słowo.

To powiedziawszy sędzina uściskała przyjaciółkę, poszczebiotała jeszcze trochę i wybiegła.

III.

Wanda była przekonaną, że obietnica Julii była tylko jedną ze zwyczajnych jej pustot, o której zapomni, nim zejdzie ze schodów i wsiądzie do czekającego przed bramą powozu.

Myliła się. Sędzina nigdy jeszcze żadnej przyjaciółce nie darowała żadnego ze swych wielbicieli. Uszczęśliwiona,

że jej przyszła taka oryginalna myśl, postanowiła ją wykonać na seryo, w oznaczonym bardzo krótkim terminie, i nie zastanowiła się nawet, czy to, co postanawia, jest w ogólności wykonalnem.

Dopiero w drodze do domu, w powozie, zaczęło jej przychodzić na myśl, że to, co zrobić zamierzyła, nigdy jeszcze nie praktykowało się w dziejach miłości, od czasu przynajmniej, jak te dzieje zaczęli spisywać poeci. Nie było przykładu, żeby najnieograniczeniej nawet ubóstwiana kobieta, kobieta, której wszelkim kaprysom jej wielbiciel był powolny, zdołała wymódz na nim zastosowanie się do jednego kaprysu: „przenieś pan swoję miłość z mojej osoby na inną.“ Z kochanków i wielbicieli robi się wszystko, co się chce, o tem sędzina wiedziała z doświadczenia, tylko nikt jeszcze z nich nie robił podarunku. Jak się wziąć do tego, od czego zacząć? otóż było zadanie, któregoby nie rozwiązała najpotężniejsza wolą i wdziękami kobieta, gdyby się do niego wzięła z jakimś rozmysłem i planem. Julia nie rozmyślała długo i nie planowała, powiedziała sobie, że zrobić się to musi, i w tem od niechcenia powziętem postanowieniu, w tem zdaniu wszystkiego na chwilowy instynkt i przypadek, leżało jedyne prawdopodobieństwo, że jej się udać to może.

Gdy przyjechała do domu, nie myślała już o tem. Męża nie było, była sama, nic jej nie przeszkadzało układać plany wykonania swojego przedsięwzięcia; nie miała jednak zwyczaju myśléć nad niczem długo, i byłaby może teraz dopiero zapomniała o swym zamiarze, gdyby w kandrans po powrocie do domu nie oznajmiono jej wizyty pana Kornela Łońskiego.

Zerwała się z kozetki, na której wypoczywała pół leżąc, i klasnęła w ręce:

— A! tego mi właśnie było potrzeba... prosić...

Pan Kornel wszedł.

Ma on zbyt ważną rolę odegrać w mojej powiastce, więc muszę czytelnika zapoznać z nim bliżej.

Kornel Łoński był człowiekiem mającym szczęście do kobiet. To jeden rys, z którego wielu innych domyśléć się można.

Powiedziałem, że miał szczęście do kobiet, więc nie mógł być wymuskanym, eleganckim salonowcem i niczem więcej. Wytworne filary salonowe, nie mające żadnego innego oprócz salonowości przymiotu, podobają się tylko podlotkom i pensyonarkom. Samym tańcem, zgrabnym ukłonem i konwersacyą, wyjętą z przewodników przyzwoitego znalezienia się w towarzystwie, samą konwencyonalną gracyą i tem, co nazywają ułożeniem czyli tressurą, można podbijać tylko serca istot, które dopiero stanęły na progu świata, i rozpatrzeć się w nim nie miały jeszcze sposobności ani czasu. Ażeby mieć szczęście do kobiet, które już pojęły lub instynktem przeczuły swoje stanowisko, swą rolę i swoję potęgę w świecie, salonowość nie jest wprawdzie zbyteczną, ale potrzeba obok niej czegoś więcej.

Pan Kornel miał to coś więcej.

W innych to coś bywa ukształceniem, głębszym dowcipem, wyższością umysłową, pozycyą socyalną, majątkiem, tytułem, widokami na przyszłość, talentem, wogóle czemś wyróżniającem jednostkę z pomiędzy ogółu, czemś dającem jej wybitniejsze miejsce w szeregu. W panu Kornelu to coś było zagadką.

Gdyby go kto wyegzaminował na seryo, rzeczywistego wykształcenia nie znalazłby z pewnością; gdyby kto chciał śledzić pochodzenia jego dowcipnych słówek, przekonałby się łatwo, że w nich oryginalności nie było; gdyby kto zmierzył jego czaszkę, doszedłby, że w niej miejsca zamało na szersze i wyższe poglądy. Pozycyi pan Kornel szukał sobie dopiero, a nikt chyba nie zaprzeczy, że pozycya człowieka, szukającego pozycyi, jest najmniej imponującą pozycyą. Majątku ani dzidzicznego, ani nabytego pracą nie posiadał, tytułu ani po przodkach w spadku nie otrzymał, ani nie kupił; widoki jego na przyszłość przedstawiały się w dosyć mglistych zarysach; nie był ani poetą, ani muzykiem, ani malarzem lub rzeźbiarzem, słowem niczem się napozór od zwykłego salonowca nie różnił, a przecież między nim a pospolitym salonowcem zachodziła jakaś niepojęta różnica. Nie wszyscy wszystko, ale zawsze jedni przyznawali mu to, drudzy owo, czego w gruncie nie posiadał. U tych miał opinią wykształconego, u innych majętnego, ci go liczyli do „dobrze urodzonych“, tamci mu wróżyli karyerę, a byli nawet tacy, co utrzymywali, że ma talenta rozmaite, i że gdyby chciał tylko, zaszedłby daleko, czyby się chwycił smyczka czy dłuta, pędzla albo pióra.

Zdaje się, że umiejętność zrobienia sobie takiej opinii była jedynie i wyłącznie owem czemś, co pana Kornela z pomiędzy tłumu salonowców wyróżniało. W potocznym języku nazywa się to sprytem, umiejętnością roli w komedyi życia, w której, tak jak w każdej innej komedyi, często wychodzą na scenę artyści z niedość wyćwiczoną pamięcią, nie umiejący sobie radzić bez głosu z budki suflerskiej.

Zbytecznem byłoby dodawać, że natura, która go obdarzyła tym nieocenionym przymiotem, nie okazała się skąpą i co do zewnętrznych zalet, owszem dość hojnie niemi go uposażyła. Równie przystojnych młodzieńców dosyć się znajdowało w mieście, które jest widownią mojej powiastki, ale o przystojniejszego było trudno.

Rysopisu nie podam czytelniczkom, bo poszukawszy we własnych wspomnieniach, każda sobie przypomni pana Kornela. Radzę tylko szukać pomiędzy tymi, o których zaraz po pierwszej rozmowie trzeba było sobie powiedzieć:

— Ten człowiek mi się podoba, choć doprawdy nie wiem, dlaczego...

Z takim człowiekiem rozmawia się następnie drugi raz, trzeci i czwarty, i za każdą rozmową podoba się nam coraz bardziej...

Ten wzrost upodobania rośnie zwykle dość długo... dopiero poźniej, znacznie poźniej, zachodzi coś takiego, co nagle upodobanie na wprost przeciwne uczucie zamienia. Spryt człowiekowi wystarcza częstokroć przez długi czas za charakter, ale nigdy nie wytrzyma do końca.

Ludzie sprytni w całem znaczeniu tego wyrazu, w wielu względach różnią się od ludzi pospolitych. Między innemi nie było przykładu, żeby człowiek sprytny samobójstwem, czarną melancholią lub ruiną majątkową zakończył swój romans którykolwiek (rzadko bowiem miewają jeden tylko w życiu). Widać ztąd, że kochają się inaczej, i że nawet na widok przedmiotu swej miłości nie zapominają o sobie.

Piękna sędzina mogłaby łatwo każdego ze swych wielbicieli doprowadzić do takiej sceny, jaką w dramatyczny i malowniczy sposób opowiedziała Wandzie, wszystkich, tylko nie tego jednego. Pan Kornel, gdyby miał upaść przed nią na kolana z okrzykiem niedającej się pohamować namiętności, upatrzyłby do tego pewno taką chwilę, w której pani Anzelmowa, choćby najszczerzej chciała, nie mogłaby się śmiać. Dopomógłby mu do wyboru takiej chwili ten nieoceniony, ten wszystko na razie zastępujący przymiot, który nazwaliśmy sprytem.

To też takiej sceny nie było jeszcze ani razu pomiędzy nim a sędziną, nawet według wszelkiego prawdopodobieństwa było do niej bardzo daleko. Sprytny wielbiciel dobrowolnie pozostawał w tem stadyum, w którem o miłości mówią dopiero oczy, a nie usta. Te ostatnie pozwalają sobie tylko niekiedy lekkich, dalekich, gęstą gazą osłoniętych aluzyi.

IV.

Wszedłszy do salonu sędziny, pan Kornel zastał ją wpatrzoną w album fotograficzne, w tę kartkę, na której znajdował się portret Wandy.

Był to dość zręcznie wymyślony środek pokierowania tak rozmowy, żeby niby przypadkiem o niej się zaczęła gawędka.

Środek ten udał się trzpiotce. Mimo całego sprytu pan Kornel ani się domyślił, że w tej rozmowie nic przypadkowego nie było.

— Znasz pan tę panią? zapytała go Julia, po kilku słowach przywitania powracając do rozwartego na stoliku albumu.

— Nie znam, pani...

— Ciekawam, czy też podzielasz pan mój gust... mnie się wydaje posągową pięknością.

— Rzeczywiście... rysy zupełnie klasyczne...

— Powiedz mi pan też otwarcie, czybyś się zakochał w niej, gdybyś ją znał?..

— Nie pani.

— Wolno wiedzieć, dlaczego?...

— Posągi zwykle bywają z kamienia...

— To prawda — uśmiechnęła się sędzina — nie każdy potrafi być Pigmalionem... Czy wiesz pan, po co ludzie wynaleźli zapałki?..

Skok od Pigmaliona do zapałek był tak raptowny, że pan Kornel całym swym sprytem nie mógł go w pierwszej chwili zrozumieć.

— Żeby nie wydobywać ognia z głazu — odpowiedział, nie chcąc mieć miny człowieka, zapominającego języka.

— Tak, tak, tak — roześmiała się na dobre Julia — zamiast dobywać ognia z głazu, lepiej poszukać zapałki, co za pierwszem lekkiem potarciem natychmiast bucha płomieniem... Wszyscy są pańskiego zdania, panie Kornelu, i w tej biednej Wandzie nikt się nie kocha, prócz... jej męża.

Słowa te powinny były zadrasnąć aż do krwi miłość własną pana Kornela. Wyjaśniały mu one, że pomimo całego sprytu nie znalazł się bardzo sprytnie. Nie wywarły jednak takiego skutku, bo nie domyślając się wcale celu, w jakim Julia rozpoczęła rozmowę, wytłumaczył je sobie, jak to ludzie czynić zwykli, w korzystny dla siebie sposób.

— Obraziła się — pomyślał — żem inną nazwał klasyczną pięknością... złapałem się, nie ma co mówić; ale zawsze to dobry znak, kiedy jej o to idzie, żeby w oczach moich była najklasyczniejszą.

Pan Kornel był w tej chwili o sto mil jeszcze od zostania darowanym Wandzie.

— Nieszczęśliwa, nieprawdaż? — szczebiotała dalej sędzina — całe szczęście, że nie czuje swego nieszczęścia... Bądź pan łaskaw, podać mi to drugie album z fotogramami.

Kornel szybko wypełnił rozkaz, Julia rozmawiając dalej, niby machinalnie zajrzała do albumu, i wysunęła z niego jeden fotogram.

— Znamy się już drugi tydzień — mówiła — a pokochałyśmy się tak, że nie mamy dla siebie tajemnic... Znasz pan mnie, więc wiesz, jakie puste myśli przychodzą mi czasem do głowy... Podałam jej raz album i prosiłam, żeby mi powiedziała, kto też z moich znajomych najlepiej jej się podoba. Przejrzała starannie, przypatrzyła się wszystkim, do niektórych wracała po dwa razy, nad niektórymi robiła uwagi, ale tych uwag panu nie powtórzę; tłumacz pan sobie, jak chcesz, z jakiej przyczyny, wreszcie wyjęła portret, który miała przy sobie, wsunęła go szybko w to miejsce, w które ja teraz wsuwam, i powiedziała mi: „ten.“

To mówiąc Julia, oddała album Kornelowi, który rzuciwszy okiem, spostrzegł na jednej stronie własne rysy, a na drugiej, tuż obok siebie, fotogram owego „tego.“

Miłość własna Kornela doznała jeszcze nieprzyjemniejszego i boleśniejszego ciosu. Owym „tym“, był człowiek przyjemnych wprawdzie rysów, ale należący do takich, których przyjemnymi czyni wyraz inteligencyi, malujący

się na twarzy. I temu owa pani dała pierwszeństwo nad nim, tego wybrała, mając przed sobą portret samego Kornela, a nawet, nawet prawdopodobnie robiła właśnie nad tem jego portretem uwagi, których grzeczność gospodyni domu powtórzyć mu nie dozwoliła.

Kornel był najmocniej przekonanym, że nie pochlebia sobie wcale, iż jego rysy, wybornie uchwycone na fotogramie, pochodzącym z najpierwszego w mieście zakładu, nietylko nie zasługiwały na złośliwe żarciki, ale w porównaniu z owym nieznajomym, któremu żeński Parys oddał pierwszeństwo, wyraźnie zostały pokrzywdzone. Gdyby był sam, byłby zawołał:

— Ta kobieta zupełnie nie ma gustu!..

Pamiętał jednak o tem, że sam nie jest, i zapytał się tylko:

— Któż jest ten pan?

Sędzina udała, że nie słyszy tego pytania, i zagadnęła:

— Będziesz pan jutro na koncercie?

— Niepodobna nie być... całe miasto się wybiera...

— A mój Anzelm właśnie nie może... mają w sądzie jakąś tam ważną sprawę... cóż robić? pojadę sama z którą ze znajomych... nie zapomnijże pan być... i postaraj się być grzeczniejszym niż dzisiaj...

To powiedziawszy sędzina wstała, jakby chciała swemu gościowi dać znak do odejścia.

Była to, jak sobie tłumaczył Kornel, jeszcze niełaska, ale niełaska już mięknąca, niełaska, która zamiast prześladować złośliwością, przechodzi do wymówek i podaje sposobność do odzyskania łaski...

Ludzie sprytni w takiem położeniu mają zwyczaj, drożyć się nieco z sobą i nie korzystać zaraz z podanej okazyi.

Kornel pożegnał z sztywniejszem niż zwykle uszanowaniem panią domu i wyszedł.

Ktoby myślał, że w tej chwili był przynajmniej o dwieście mil od zostania darowanym Wandzie, toby się najmocniej omylił.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Słówko.

Jest słówko drobne, krótkiego brzmienia,
Co niby murem od troski dzieli,
Duszę wyciąga z toni cierpienia,
Jak nurek perłę z morza topieli.

Jest słówko, które rozpędza chmury
I blaskiem zjaśnia dni szereg długi,
Jak słońce, kiedy ozłaca góry,
Gdy światła swego rozleje strugi.

Jest słówko, które ubiera kwiatem
Cały kobierzec naszego życia,
Jak dłoń natury wiosną i latem
Łąki w stubarwne stroi pokrycia.

To słówko drobne, co szczęściem świta,
To słówko, w krótkiej brzmiące osnowie,
Jest, gdy kochanek „kochasz mię?“ spyta,
A luba jemu „kocham“ odpowie.

Al. Bol. Brzostowski.

Kronika literacka i artystyczna.

Lwów, w marcu 1873.

(Odczyty na cele dobroczynne. — Wystawa dzieł sztuki Rodakowskiego. — Rewolucya teatralna; Szekspir na scenie lwowskiej; próbka repertuarza. — Teatr amatorski u Namiestnika. — Opera na drodze reformy. — Wezwanie do artystów i prośba do p. Matejki. — Wystawa powszechna w Wiedniu. — Obchód rocznicy śmierci Tarasa Szewczenki.)

Z środą popielcową ożywił się bardzo ruch umysłowy w mieście naszem. Jednocześnie utworzyły się aż trzy koła, urządzające prelekcye na cele dobroczynne; tak więc mamy odczyty na rzecz czytelni akademickiej, Towarzystwa pedagogicznego i Towarzystwa św. Wincentego a Paulo ku zapomaganiu rodzin ubogich, wstydzących się żebrać. Wszystkie niemal znane na polu nauki i literatury osobistości naszego miasta przyjęły udział w tych prelekcyach, a w szeregu najpierw wymienionych także Seweryn Goszczyński. Publiczność, zwłaszcza zaś panie nasze, dość licznie uczęszczały na dotychczasowe odczyty, a jest nadzieja, że następne odbędą się przed pełniejszemi jeszcze ławkami. Szkoda tylko, iż komitety urządzające nie porozumiały się o rozkład dni i godzin swoich odczytów, za czem poszło, iż jednocześnie odbywają się niekiedy dwa odczyty, rozrywające nie zbyt liczny już sam przez się zastęp słuchaczy, a tem samem paraliżujące się wzajemnie.

Przez dwa tygodnie (od 7. do 20. b. m.) mieliśmy wystawę utworów pędzla Henryka Rodakowskiego. Znakomity artysta sprawił istotnie wielką przyjemność i zaszczyt swemu miastu rodzinnemu, obznajamiając je z dziełami swojemi, z których większa część zjednała mu już najzaszczytniejsze

uznanie w szerokim świecie. Wielka kompozycya historyczna, „Wojna kokosza", perła ostatniej wystawy paryskiej, jest nową chlubą sztuki polskiej! Serce polskie drży radością na widok odtworzonego tak po mistrzowsku klasycznego wieku przeszłości naszej narodowej — owych postaci, dających z siebie dowód pełni życia dziejowego, jaką Polska jaśniała za Jagiellonów. Tarnowski, Kmita, sam król Zygmunt Stary są takiemi postaciami w obrazie p. Rodakowskiego. Nie nam oceniać rysunek i malowanie tego obrazu; ale pragnący charakterystykę epoki sprawdzić, prawdy dziejowej szukający w kompozycyi historycznej, czegoś więcej nad proste zadowolenie doznawaliśmy wpatrując się w „Wojnę kokoszą." Dzieło to samo przez się starczyłoby za świadectwo pierwszorzędnego talentu artysty, w którego duszy powstało. — Pan R. jest też nieprześcignionym prawie w portretach; z wystawionych kilkunastu, tak olejnych jak i akwarelowych, szczególnie nam imponowały portrety pani M. R., Leona Kaplińskiego, księcia Aleksandra Czartoryskiego i pułkownika ułanów, p. M. R. — Wyborne w swoim rodzaju są „typy ludowe", przedstawiające takie figury jak n. p. „pocztę wiejską" w Galicyi itp. Szkoda istotnie, że wystawa trwała tak krótko, i że zwłaszcza wielu ciekawych z poza Lwowa zdążyć na nią nie miało czasu. Podobno jednak nie mogło być inaczej, gdyż trzeba było wyprawić obrazy na powszechną wystawę wiedeńską. — Wdzięczni są p. R. nietylko ci, którzy mieli sposobność oglądać jego dzieła, ale i ubodzy miasta naszego, na korzyść których artysta przeznaczył dochód z wystawy.

W zarządzie sceny naszej przeprowadzane są właśnie zmiany, odpowiednie duchowi statutu, na podstawie którego powstały dzisiejsze stosunki teatru. Po wystąpieniu z komitetu zarządzającego p. Jana Dobrzańskiego, tenże komitet przybrał do swego grona hr. Łosia Augusta i ułożył listę członków rady artystycznej, która czuwać ma nad repertuarzem, angażować artystów, słowem objąć estetyczne kierownictwo sceną. Lista owa wszakże nie jest dotąd zupełną, dla tego odkładamy ogłoszenie jej na poźniej. Zresztą rada ta artystyczna podobnie jak komitet założycieli jest tylko prowizoryczną, gdyż dopiero walne zgromadzenie akcyonaryuszy, zebrać się mające po Wielkanocy, wybierze stałych funkcyonaryuszy do administracyi i dyrekcyi teatru. Subskrypcya na akcye teatralne postępuje teraz podobno raźniej niż w roku zeszłym.

Młode siły naszej sceny doświadczyły się znów kilkakrotnie w sztukach „wielkiego stylu", mianowicie w Szekspirowskiej komedyi „Wiele hałasu o nic", i tragedyi „Ryszard III." Pierwszą wziął był na benefis p. Linkowski, zaś „Ryszarda III." pani Woleńska. W obecnym stanie rzeczy sztuki takie nie mogą mieć tutaj powodzenia, gdyż większa część aktorów ani pojęciem ani środkami zewnętrznemi nie wzniosła się do wysokości geniuszu Szekspirowskiego. Przedstawienia „Ryszard III." w całości wypadały bardzo miernie, w czem dyrekcya najwięcej ponosi winy, z powodu niewłaściwej obsady ról i zaniedbania się w aranżowaniu asamblów. P. Zboiński n. p., któremu powierzono rolę lorda Bukinghama, zdaniem naszem nie powinien był nigdy grać ani tej, ani żadnej wogóle roli dramatycznej, pani Szymańska nigdy roli królowej Elżbiety. Ważne role Hastingsa i Stanleya oddane były bez żadnego wyrazu. Lord Mayor Londynu i lord Northumberland ubrali się i ucharakteryzowali po cudacku; szczęściem mówili nie wiele. Dyrekcya też widocznie zapomniała o tem, że kilku statystów, ubranych w pikielhauby, jako żywo uprzytomnić nie mogło widzom Rady stanu Wielkiej Brytanii. — Z roli samegoż króla Ryszarda III. wywiązał się pan Ładnowski znakomicie, względnie do zasobów fizycznych jakiemi rozporządza; stworzył on wprawdzie typ, który do Szekspirowskiego stoi w takim mniej więcej stosunku, jak wiek obecny, miękki a pokostowany, do surowego wieku „Wojny Róż", ale też opracował go i wycieniował konsekwentnie we wszystkich szczegółach. Scenę tronową mianowicie, w akcie IV., odegrał p. Ł. prześlicznie. Panie Aszpergerowa, Linkowska i Woleńska, tudzież pp. Woleński (Richmond) i Kwieciński (Klarens) grą swą podtrzymywali wątłą całość przedstawienia. Panu Konarskiemu należy się uznanie za mozolną pracę uscenizowania takiej rozprószonej pod względem jedności miejsca sztuki, jak „Ryszard III."

Repertuarz zawsze jeszcze jest najsłabszą stroną naszej dyrekcyi teatralnej. Pod tym względem ściąga ona na siebie najcięższy zarzut — bezmyślności i najzupełniejszego zapoznania swego powołania, tudzież stanowiska, jakie scena lwowska wobec życia narodowego zająćby powinna. Oto np. sztuki z rzędu odegrane w pierwszych dniach postu: d. 25. lutego, „W. ks. Gerolstein"; 26. l. „Kaprys" z francuzkiego i „Żaki" operetka; 27. l. opera; 28. l. „Rabagas" z franc.; 1. marca opera; 2. marca: „W. ks. Gerolstein"; 3. m. „Kaprys" z franc.; „Recepta na teściowe" z hiszpańskiego i „Po północy" z fran.; 4. opera; 5. „Rewizor z Petersburga" z moskiewskiego; 6. „Po północy" z franc.; „Żaki" operetka... Czyż taka lista da się pogodzić z godnością sceny „narodowej"?

Na ostatnim konkursie dramatycznym krakowskim drugą nagrodę otrzymała tragedya Tomasza Olizarowskiego „Rognieda"; trzecią nagrodę komedya Michała Bałuckiego „Emancypowane". Pierwszej nagrody nie przyznała komisya żadnej z nadesłanych na konkurs sztuk. Dyrekcya teatru lwowskiego powinnaby się postarać o przedstawienie premiowanych sztuk.

Dnia 26. bm. odbył się w sali Namiestnictwa teatr amatorski na rzecz Ochronek miejscowych. Pani Namiestnikowa zajmowała się osobiście urządzeniem tej zabawy; widzowie, oczywiście, byli proszeni. Odegrano dwie sztuki francuskie i jednę polską. Dla czegoż tyle francuszczyzny? Wszak to jest rzecz guwernantek i bon, nie tych, dla których tysiącletnia historya wyrobiła piękny język równie jak piękne imiona rodowe. — Zabawa ta przyniosła znaczny dochód funduszowi Ochronek, ceny miejsc bowiem były wcale wysokie.

W operze zajdą wkrótce ważne zmiany. Pierwszy tenor p. Cieślewski, którego otoczyliśmy szczerą sympatyą i uznaniem, opuszcza nas, przenosząc się do Warszawy. Na jego miejsce przybędzie p. Kamiński z opery miejskiej w Gracu, używający rozgłośnej reputacyi w Niemczech. Uzupełnione mają być siły solowe i chórowe. — Od miesiąca prowadzi znów operę p. Stanisław Niedzielski, dyrekcya jego korzystnie wpływa na stan takowej, co się już uczuć dało w ostatnich reprezentacyach, mianowicie w „Dinorze" Mayerbeerowskiej, po raz pierwszy wystawionej na benefis pani Jakowickiej d.

Dyrekcya lwowskiego Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych zaprasza artystów w kraju i zagranicą do udziału w tegorocznej wystawie lwowskiej, której otwarcie nastąpi d. 1. maja.—W Krakowie od miesiąca wystawiony jest na widok publiczny „Kopernik“ Matejki; myśmy tę wspaniałą kompozycyą widzieli dotychczas tylko w fotografii, ale nie tracimy nadziei, że artysta, pomnąc przyjęcia, jakiego doznały tutaj wszystkie jego obrazy, pokaże nam i „Kopernika“, co wszakże aż po wystawie wiedeńskiej nastąpićby mogło.

Wybierający się na powszechną wystawę wiedeńską mogą znaleźć znaczne ułatwienia przejazdu do Wiednia i pobytu tamże, tym celem bowiem zawiązało się w Wiedniu przedsiębiorstwo, które generalną swą agencyą na całą Galicyą powierzyło księgarni p. Richtera, wydawcy „Strzechy.“ Bliższych szczegółów i warunków tego ułatwienia zasięgnąć mogą interesowani każdego czasu w rzeczonej księgarni.

Termin pierwotny otwarcia wystawy wiedeńskiej, 1. maja, prawdopodobnie utrzyma się, komitet urządzający bowiem czyni największe wysilenia, by do tego czasu pokończyć roboty przygotowawcze. Dziesiątki tysięcy robotników dniem i nocą używane są do spełnienia tego olbrzymiego w swoim rodzaju zadania. Korespondenci pism krajowych z Wiednia donoszą, że wogóle wystawa ta zakrojoną jest na niewidzianą dotąd nigdzie skalę, i że obfitością swą i ogromem przyćmi ostatnią paryską i londyńską. Obawiać się tylko należy, czy nawet miasto milionowe, jak Wiedeń dzisiejszy, będzie mogło dać pomieszczenie gościom z całego świata, czy nie nastąpi w niem przeludnienie.—Podajemy w końcu do wiadomości czytelników, że „Strzecha“ przez cały czas wystawy ogłaszać będzie oryginalne sprawozdania z tejże, pióra p. Alfreda Szczepańskiego.

Dnia 9. b. m. tutejsze Towarzystwo młodoruskie „Proświta“ obchodziło w sali ratuszowej rocznicę śmierci znakomitego poety ukraińskiego, Tarasa Szewczenki. Licznie zebrana publiczność obu narodowości naszego miasta, wśród której znajdowali się także hrabia Namiestnik i książe Marszałek krajowy, szczerze przyklaskiwała produkcyom muzycznym i deklamacyjnym, z których składał się ten obchód. „Proświta“ dzielnie spełnia swe zadanie jako ognisko życia narodowego szczerej Rusi halickiej, i dla tego posiada sympatye wszystkich szlachetnie myślących Polaków.

B. K.

Drezno, w marcu 1873.

(Jeszcze o uroczystości kopernikowej. — Nowe dzieła: Życie i obyczaje zwierząt W. Niewiadomskiego.—Starosta Kiślacki W. Pola. — Krakowski konkurs dramatyczny. — Nowe sztuki — T. Maleszewskiego portrety znakomitości polskich. — Niedoszłe wydawnictwo Przeglądu powszechnego.)

Nie chciałbym już w liście tym powtarzać się i jeszcze raz wspomnieć o Koperniku, a jestem do tego zmuszonym... W tej chwili dochodzi mnie, nakładem komitetu Kopernikowego wydane sprawozdanie z obchodu (Czterowiekowy jubileusz urodzin Mikołaja Kopernika w Toruniu dnia 19. lutego 1873 r. spisał X. Ignacy Polkowski. 1873 u Dr. Langiego w Gnieźnie 8° 63 str.) Znajduje się tu piękne bardzo kazanie ks. Dr. Jażdzewskiego, mowa ks. Polkowskiego, przemówienia i toasty przy uczcie... Lecz dla nas niknie to wszystko wobec kilku słów niezmiernego znaczenia, któreby dziś szczególniej, w Poznańskiem złotemi głoskami wydrukować należało...

Prezes komitetu wypił zdrowie duchowieństwa, słysząc to powstał ks. kanonik Bartoszkiewicz z Szenycha, członek kapituły Chełmińskiej, i przemówił jak następuje:

„Jakkolwiek zaszczytna dla nas, Szanowni Ponowie, że właśnie przy dzisiejszej uroczystości nas duchownych na pierwszem wspominacie miejscu, pozwólcie wszelako, że przeciwko odróżnianiu nas jakoby poza narodem, lub obok takowego stojącem obywatelstwem, zastrzeżemy się mocno. My nie rozumiemy odrębności! Tradycya polskiego duchowieństwa inaczej wskazuje. Jednej ziemi synowie, jednego narodu członkowie i obywatele jednej krwi, jednej wiary i całości narodu, jesteśmy też jednych praw, a szczególniej jednakich obowiązków dzierzycielami, i nie czyni różnicy rozmaitość stanu, która dla rozmaitości potrzeb w narodzie potrzebna, jest raczej dopełnieniem harmonii, a nie jej zerwaniem lub pokłóceniem... My z wami równi przeszłości naszej spadkobiercy, i równo do narodowej pracy nastawiamy plecy, a w tem chyba różność, że każdy czyni wedle rozmaitości darów i powołania. Ja przeto wnoszę zdrowie na pomyślność nierozerwanej przez wszystkie powołania spójni narodowej, na pomyślność jednego obywatelstwa!“

Bodaj się święciły słowa czcigodnego kapłana... Lecz dosyć już o Koperniku, wszyscyśmy dzień ten czcili, związał on nas dalekich myślą jedną... dzień to był prawdziwie albo notanda lapillo!..

Do dawnych zwyczajów u nas, należały wnoszone, jak Kochanowski zowie, prze zdrowie.. angielskie toasty (grzaneczki). Gdym raz ostatni miał szczęście widzieć Pola, była mowa o tem. Pol utrzymywał, iż było w porządku wnoszenia zdrowia pewne prawo i reguła niezmienna, dziś zaniechana. O ile sobie mogę przypomnieć, sześć zdrowiów wnoszono z obowiązku: 1. Króla IMości i Rzeczypospolitej; 2. królowej IMości i rodziny; 3. ks. Prymasa i duchowieństwa; 4. Panów Senatorów i dygnitarzy; 5. Rycerstwa; 6. Płci białej... Et post sex, powiadało przysłowie, nulla lex, szły toasty wedle fantazyi biesiadników. Zapiszmy to do tradycyj, do których należy dziś pełen znaczenia, charakterystyki, narodowy toast kochajmy się. Powstał on w czasach, gdy się może najmniej kochano, ale poczucie miłości braterskiej tem mocniej czuć się dawało. Henryk Rzewuski dodawać miał zwyczaj — kochajmy się — bo ktożby nas inny mógł kochać!

Jedną z najpiękniejszych, powiem prawie najwspanialszych książek, wydanych w tych czasach, jest „Życie i obyczaje zwierząt“ według Brehma i innych najnowszych źródeł przez Wincentego Niewiadomskiego, nakładem najczynniejszej firmy warszawskiej Gebethnera i Wolffa. Wybornie ułożona książka ta, w krótkości przedstawiająca wedle ostatnich badań żywot zwierzęcy na ziemi, wydaną jest z znadzwyczajnem staraniem i ilustrowaną obficie... Zwierzęta ssące, ptaki, płazy, ryby aż do najniższych organizmow i świata mikroskopowego, wszystko się tu mieści..

Spory ten tom o czterystu stronnicach, drukowany w Lipsku, przynosi zaszczyt firmie, która go wydała, i typo-

grafii Klinckardt'a. Przy dzisiejszem zamiłowaniu nauk przyrodniczych, taki obraz ogólny, jako wstęp do szczegółowych i specyalniejszych badań i studyów nadzwyczaj jest pożyteczny i pożądany.

Samo z siebie się rozumie, że przy dzisiejszem też zajęciu żywem czwororękami, vulgo małpami, familia ta ze szczególnemi względy na czele dzieła jest odwzorowaną. Goryle i Szympansy, Orangutangi, Gibbony, Makaki, Pawiany, i t. p mnogie rodzaje przedstawiają się do wyboru, ktoby sobie przodka chciał wyszukać. Dla karykaturzysty znakomity materyał porównawczy! Żart na stronę, dzieło polecić możemy, jako jednę z najpiękniejszych nowości polskich...

Wyszedł też tylekroć przez nas wspomiany Starosta Kiślacki z dwoma portretami Pola, z których jeden Grottgera... Nieodżałowanego tego Chopina rysowników naszych, rysunki nieznane wynajdują się w tekach po nim pozostałych, i pisma warszawskie coraz nowe ogłaszają. Czyby nie pora była pomyśleć o zbiorze zupełnym dzieł Grottgera?.. Byłby to najpiękniejszy pomnik dla niego... Lecz kiedyż się na to zebrać potrafimy, my, co mamy tyle do czynienia, a ochoty, rąk i środków tak mało?

O jednem jeszcze wydawnictwie wspomnieć musimy, chociaż ono nosi imię nasze (a o tych zwykle strzeżemy się mówić). Na ten raz jednak, ponieważ mały bardzo udział w niem mieliśmy, a cała zasługa komu innemu należy, nie wahamy się powiedzieć słów kilka.

Są to urzędowe akta Sądu Sejmowego na przystępców Stanu 1827—1829 r., zebrane staraniem p. Tadeusza Bieczyńskiego, żyjącego dotąd Sekretarza prezydyalnego owego Sądu Sejmowego. Ważny ten materyał historyczny po raz pierwszy wychodzi na świat, i daje nam poznać bliżej Polskę w przededniu rewolucyi 1830 r. Wielka należy się wdzięczność p. Tadeuszowi Bieczyńskiemu, iż słuszną przywiązując wagę do tych dokumentów, przechował je i drukiem ogłosić postanowił. Myśmy mu w tem wcale niewielką pomocą być mogli. Nie wątpimy, iż pracujący nad tą epoką dziejów naszych, nowy ten przyczynek do nich należycie ocenić potrafią.

Konkurs dramatyczny krakowski, który tak obfity plon obiecywał, skończył się wcale niespodzianym wyrokiem, iż żadna ze czterdziestu podobno sztuk nadesłanych, bezwarunkowej doskonałości nie dosięgła, i drugie tylko premium a listy pochwalne i zalecenia rozdał komitet. W każdym razie jest to bardzo dogodnem dla ogłaszających konkurs, i dozwoli zapewne ogłosić drugi. Nie znamy dzieł, które komisya miała do rozpatrzenia i ocenienia, oprócz jednego dramatu, przez nasze ręce przesłanego, bardzo pięknym wierszem i z wielkiem poczuciem dramatycznem napisanego. Z tego sądząc (nie zaszczycono go nawet odczytaniem w pełnem zebraniu), mielibyśmy prawo nazwać sędziów do zbytku surowymi, gdyby przedmiot dramatu z ostatnich wypadków wzięty, nie tłumaczył nam tego inaczej. Olizarowskiego znakomity talent, zamało znany i nieoceniony, jak zasługiwał, przecież raz dostąpił tego, co mu zdawna należało... Nie wątpimy, że Rognieda odpowie oczekiwaniu i sędziów usprawiedliwi w oczach ogółu. Cieszym się także nową komedyą Bałuckiego, do której przybywa zapowiedź nowej także komedyi Fredry (syna). Słyszeliśmy również o Karlińskim, trzyaktowym dramacie, utalentowanego młodego poety p. Wł. Bełzy, i o jednoaktowym jego Słowiczku, które się zapewne na scenie lwowskiej ukażą?? Talent p. Bełzy niewątpliwy każe nam wróżyć jak najlepiej o obu tych utworach. Teatra nasze żyją więc i żyć obiecują przy takiej obfitości nowych płodów...

Z dzienników warszawskich dowiadujemy się o nabyciu Kopernika Matejki przez uniwersytet Jagielloński w Krakowie; byłożby to prawdą?? Warszawa cieszy się kartonem Gersona, który znajduje coraz większe uznanie ogólne, i obrazem Lesser'a. — W Monachium wydał świeżo p. Tytus Maleszewski, który już od lat kilku rozpoczął szereg portretów znakomitości naszych (Rejtan, Kościuszko, Kopernik, Kazimierz Wielki), dwa nowe bardzo piękne wizerunki Stefana Czarnieckiego i Jana Kochanowskiego. Stare wizerunki Czarnieckiego współczesne, są dosyć rozpowszechnione, nie znać w nich jednak, nie czuć typu indywidualnego tego wodza „Trzepaczki“, o którym Jerlicz pisze, że jadał z żołnierzem, spał na siodle i obyczaje miał nie hetmańskie i nie pańskie, ale rycerskie i szlacheckie. Panu Maleszewskiemu za wzór służył portret współczesny, malowany pono z rozkazu kurfirszta Brandeburgskiego, a dziś znajdujący się na zamku królewskim w Berlinie. Piękna to głowa i postać szlachetna... Znać malarz ją z natury zdejmował przed oblężeniem Krakowa, w którem Czarniecki policzek miał przestrzelony, a blizna od tej szwedzkiej kuli została mu na zawsze... Do Jana Kochanowskiego za wzór służyło znane jego popiersie z grobowca, za mało wyraziste, by charakter tej pięknej twarzy odgadnąć dawało... Tu trzeba było stworzyć, domyśleć się oblicza największego z wieszczów naszych aż do Mickiewicza, twórcę języka, jenialnego spiewaka z Czarnolasu. Wizerunek jest też piękny, a za złe nie weźmiemy artyście, iż szanując prawdę, nie śmiał jej własnym domysłem żywszą, indywidualniejszą uczynić. Portrety Maleszewskiego mają tę wielką zasługę, że do domów naszych wnoszą z sobą poszanowanie przeszłości, myśl o niej, pamięć wielkości naszej i zasług narodowych. Lecz jakże mało stosunkowo się rozpowszechniają!! W Poznańskiem i Prusach rozchodziły się dotąd głównie. Wydawca próbował posłać do Galicyi egzemplarze portretu Rejtana, i w ciągu roku udało mu się sprzedać — jeden. Jestto doskonały dodatek do pięciu egzemplarzy albumu Kopernikowego, na które w królestwie tysiąc kilkuset znalazło się prenumeratorów... Cóż to za serdeczna pociecha dla Stańczyków, iż nareszcie potrafili wykorzenić niedorzeczny ów manifestacyjny patryotyzm, i przyprowadzić ludzi do opamiętania i rozumu!! Historya zapisze ten znakomity owoc ich prac i starań, wraz z innemi zasługami... które przyszłość należycie oceni.

Na ostatek zapisać muszę, iż ogłoszony przezemnie Przegląd Powszechny, który od lipca zacząć miał wychodzić w Dreznie, wedle wszelkiego podobieństwa umrze przed urodzeniem... Ogłaszając o nim poszliśmy za życzeniem osób, które obmyśleniem środków materyalnych dla wydawnictwa zająć się miały, nigdyśmy jednak bardzo nie ufali w ich zebranie. Ziściło się tylko to, cośmy zawczasu przeczuwali; środki się nie znalazły i nie znajdą, chyba na drugi Przegląd lwowski, lub coś w tym rodzaju... Nie dziwimy się temu wcale.

J. I. Kraszewski.

Ze Świata.

(Zaszczytne obuwie). Pewna Niemka, która przez dłuższy czas bawiła w Persyi i miała nieszczęście, zapoznać się bliżej z bastonadą, czyli jak tam mówią grzecznie, z „zaszczytnem obuwiem", za to, że w rozmowie wyraziła się nieostrożnie o małżonce ministra policyi, opowiada smutną przygodę swoję w następujący sposób:

„Pewnego rana, gdym rozmawiała spokojnie z Zofią (bratową swoją), oznajmiono jakąś damę, która wezwała nas natychmiast na audyencyą do pani ministrowej. Ja nie przeczuwając nic złego, byłam zdziwiona i zachwycona; Zofia jednak okazywała się niespokojną, a gdyśmy przywdziewały spiesznie najkosztowniejsze nasze suknie, wyrażała obawę, że może będziemy pociągnięte do odpowiedzialności za lekkomyślną rozmowę wczorajszą. Ale nie było już rady na to; takie zaproszenie równa się rozkazowi. Wsiadłyśmy przeto do naszych lektyk i za kilka minut byłyśmy w pałacu. Równocześnie z nami przybyły jeszcze dwie inne damy, które poprzedniego wieczora znajdowały się w naszem towarzystwie, i ich obawą i jam się zaraziła. Kilka wystrojonych kobiet wprowadziło nas wszystkie cztery do sali posłuchalnej, gdzie do stu kobiet i dziewcząt spiewało, tańczyło lub grało, jak to zwykły czynić niewolnice dla zabawienia swojej pani. Na wzniesieniu w środku sali siedziała sama Khanum (żona ministra policyi), a po obu stronach jej dywanu stało sześć czy siedm olbrzymich murzynek z tęgiemi pletniami w ręku. Przed każdą z tych dwóch grup rozłożony był kobierzec, a na każdym kobiercu leżał — okropny widok! — tak zwany Fellik, to jest drewniany drążek, tak długi i gruby jak u miotły, do którego na samym środku przymocowane było sidło z mocnego sznurka.

Te przygotowania wyglądały już same dość groźnie, a przestrach mój powiększały jeszcze sarkastyczne uwagi kobiet, gdyśmy zwolna przechodziły przez salę; ale do największego stopnia wzmógł się on wtedy, gdyśmy stanęły przed dywanem, a Khanum ozwała się do nas ze złością:

— „Cóżto ja słyszę, moje panie? Czyż imię moje jest na to, ażeby każdego razu, gdy się zejdą próżne klapaczki, walano je w błocie? Ale kara was nie minie. Pochwyćcie je i zwiążcie!" — krzyknęła na murzynki, i w okamgnieniu były ręce nasze skrępowane ztyłu. „Bijcie teraz, bijcie!" — krzyczała wściekła baba — „bijcie, żeby aż krew wytrysła!"

Potem poniesiono Zofią i jednę z naszych towarzyszek niedoli na kobierzec i położono je twarzą do ziemi. Nogi ich zostały podniesione i za pomocą sidła przytwierdzone do drążka, i murzynki zaczęły smagać podeszwy pletniami z widocznem zachwyceniem. Jęki boleści ofiar uspokoiły panią ministrowę; kazała sobie podać fajkę i zaczęła drwić z nieszczęśliwych ofiar, a jej przycinkom i szyderstwom towarzyszyły śmiechy i radośne okrzyki innych kobiet.

— „Ach, moje dziateczki" — mówiła — „teraz śpiewacie inaczej; to daleko przyzwoitsze, niż wasza rozmowa wczorajsza."

Po wymierzeniu stu prawie razów dała Khanum znak, i biedne męczennice zostały rozwiązane i odniesione na dywan przy bocznej ścianie sali. Aż do tej chwili nie pojmowałam, czy to sen czy rzeczywistość, a teraz uczułem się bezwładną w ręku czarnych oprawczyń. Śród krzyku i szamotania się położono mnie na twarz na kobiercu; po chwili uczułam koło kostek ściskające się sidło strasznego Felliku, podniesiono drążek do góry, zdarto moje pantofle, obsadzone drogiemi kamieniami, i wnet zaczęłam się wić pod okrutnemi razami pletni, które jak grad na wzniesione do góry podeszwy moje spadały. Napróżno błagałam o łaskę i obiecywałam poprawę, napróżno prosiłam i groziłam naprzemian. Khanum paliła spokojnie swoję fajkę, a murzynki chłostały coraz mocniej, gdy tymczasem inne kobiety śmiały się głośno z moich drgań i krzyków. W końcu dała Khanum znak, i kara się skończyła; rozwiązano moje nogi, i złożono mnie słabą i wycieńczoną bolem na dywanie. Jakaś dziewczyna przyniosła moje pantofle, które były teraz za małe na spuchnięte i zbolałe nogi, a potem wsadzono nas do naszych lektyk i odniesiono do domu.

Przez cały tydzień musiałyśmy leżeć w łóżku i okładać nogi zimną wodą. Wszystkie nasze przyjaciółki tamtejsze odwiedzały nas w ciągu słabości, niby dla pożałowania nas, a w istocie, aby się naigrawać z naszego nieszczęścia. Gdyśmy już mogły chodzić, doradzała mi Zofia, znająca lepiej zwyczaje perskie niż ja, ażebyśmy ministrowej oddały wizytę ceremonialną, dla podziękowania jej za zrobiony nam zaszczyt. Rada ta oburzyła mnie; ale wnet dowiedziałam się, że w razie nie oddania takiej wizyty zostałabym niezwłocznie znowu zaproszoną do przywdziania „zaszczytnego obuwia." Rada nie rada więc musiałam się skłonić do tego; ale nad wszelkie spodziewanie zostałam bardzo mile wzruszoną a nawet poniekąd rozbrojoną przyjęciem, jakiego doznałyśmy u Khanum, która przyjęła bardzo uprzejmie nasze podziękowanie za jej troskliwość o poprawę naszę, i uraczyła nas słodyczami i fajką. Odchodząc zastałyśmy murzynki czekające w przedpokoju, i musiałyśmy jeszcze opłacić się naszym oprawczyniom za ból, który nam zadały, jak to zwykle czynią damy, które przechodzą przez ich ręce. Zaprawdę, „zaszczytne obuwie", jest nietylko bardzo dobitną, ale i bardzo kosztowną karą, i będę odtąd nietylko w Persyi, ale i w ojczyźnie mojej wystrzegała się wszelkich ubliżających uwag o kobietach.

(Kupiec na dzieci). Pewien Anglik bogaty, a oryginalny jak wszyscy synowie Albionu, bawiąc zeszłego lata w jednym z pirenejskich zakładów kąpielowych, wsławił się następującem bezprzykładnem dziwactwem: Pewnego dnia spostrzegł na targu kąpielowym bardzo ubogą, jak się zdawało, ale młodą jeszcze i bardzo piękną wdowę, która sprzedawała owoce, i tym sposobem utrzymywała się z swojem dziecięciem. Dziecko, kilkoletni chłopaczek, bawiło się obok matki. Anglik przypatrywał się im długo z widocznem zadziwieniem, a potem zbliżył się do straganiarki i rzekł: „Pani mi się podobasz, i twoje dziecko także, a powiem pani dlaczego. Miałem piękną żonę, bardzo podobną do pani, którą nadewszystko kochałem. Niestety umarła ona zbyt wcześnie, zostawiając mi tylko jednego syna, żywy swój obraz, prawdziwego aniołka, który jednak wkrótce poszedł za swoją matką. Ażeby ukoić mój smutek, jeżdżę teraz po całym świecie, i gdziekolwiek znajdę pięknego chłopaczka, podobnego do mego Williama, daję za niego, ile żądają, i proszę rodziców, ażeby mi dozwolili zająć się jego szczęściem. Już mam czterech w Londynie, gdzie każę ich starannie wychowywać. Tego z chłopców, który

w roku pietnastym będzie najroztropniejszym i najwięcej podobnym do Williama, jak go sobie w tym wieku wyobrażam, przybiorę za syna i uczynię spadkobiercą mojego imienia i majątku. Innym zabezpieczę przyjemne stanowisko na świecie. Otóż żadne z tych dzieci, które dotąd kupiłem, nie jest tak bardzo podobne do Williama, jak syn pani. Chcesz mi go sprzedać, to zapłacę, ile zażądasz.“ — Matka oburzona wielce tem zapytaniem, przycisnęła syna do siebie i odrzekła sucho: „Panie, ja sprzedaję owoce, nie dzieci.“ — „To nie jest rzecz nagląca“ — odparł Anglik z największą spokojnością — „Ja płacę dobrze, a żądam tyle tylko, by rodzice nie starali się więcej widzieć swego dziecka. Mieszkam w hotelu... Zastanów się pani nad tem, gdyż idzie tu o przyszłość jej dziecka. Zostawiam pani trzy dni do namysłu.“ —

Biedna matka rozmyślała o tej szczególnej propozycyi, całe miasteczko rozmawiało o dziwaku angielskim, i byłby on z łatwością dostał za tanie pieniądze dziesięcioro innych dzieci; ale piękna straganiarka, gdy po trzech dniach zgłosił się do niej znowu, oświadczyła mu stanowczo, że popełniłaby ciężki grzech, któregoby jej Bóg nigdy nie przebaczył, gdyby oddała dziecię za marny pieniądz. Ale Anglik nie dał się zbyć tak łatwo; zaklinał matkę na niebo i piekło, wszystko jednak napróżno. Wreszcie rzekł: „Założę się, że to dziecię przecież otrzymam, gdyż muszę je mieć. Zasięgnąłem dokładnych wiadomości; pani jesteś podobna do mojej Jenny — ofiaruję pani moję rękę, a Twój syn niech mi zastąpi zmarłego Williama. Jestem wolny i bogaty, i stawiam tylko ten jedyny warunek, abyś pani przybrała imię J e n n y, a swego małego synka nazwała W i l l i a m e m.“ — Ten wniosek trafił jakoś łatwiej do serca młodej wdowy, i nie potrzebowała ona aż trzech dni do namysłu. Przyjęła ofiarowaną sobie rękę, i jest dziś piękną uwielbianą Lady M. Tak opowiada dziennik „Sprudel.“

(L u d y k a r ł o w a t e w ś r o d k o w e j A f r y c e). Znany podróżnik Dr. Schweinfurth przedłożył niedawno T o w a r z y s t w u g e o g r a f i c z n e m u w Berlinie swoje uwagi i osobiste doświadczenia co do tego przedmiotu. Przebywając długi czas w okolicach górnego Nilu, nasłuchał on się nieraz napół romantycznych, napół rzeczywistych baśni, jakie krajowcy o osobliwościach Afryki środkowej opowiadali. Między innemi mówili oni o owych karłach (Pigmejczykach), których walkę z żórawiami Homer już opiewał, że mają oni zamieszkiwać kraj leżący na południe od Niamianów, że mężczyźni mają najwięcej trzy stopy wysokości i siwe brody, że z wielką zręcznością i odwagą wyprawiają polowania na słonie i przedają kość słoniową obcym handlarzom, i tym podobne inne osobliwości. Dość, że podanie o Pigmejczykach towarzyszyło mu w ciągu całej podróży, i w opowiadanich o przepysznym dworze królów kanibalskich zajmowały karły, odgrywający rolę błaznów nadwornych, zawsze główne miejsce. Ale dopiero na dworze Munsy, króla Monbuttów, udało mu się powziąć przekonanie, że te karły nie są tylko zjawiskiem patologicznem, lecz stanowią rzeczywiście cały szereg szczepów, których wzrost nie dochodzi o wiele zwyczajnej miary człowieka. Pewnego rana ozwały się głośne okrzyki radości w obozie, i do jego namiotu wprowadzano jako namacalne uosobienie tysiącletnich podań osobliwszego człowieczka, spoglądającego dokoła przelęknionym wzrokiem. Podarunkami i uprzejmością nakłoniono go do siedzenia, i czem prędzej sporządzono jego fotografią i portret; opowiadał on, że jest głową rodziny, która mieszka o pół mili od stolicy, że lud jego nazywa się Akka i żyje z południowej strony królestwa Monbuttów, a nakoniec, że król Monbuttów podbił ich i osadził w pobliżu swojej rezydencyi. Oprócz nazwisk rzek i królów jego kraju, nie można się było od niego niczego więcej dowiedzieć, a w końcu począł się niecierpliwić i wybiegł z namiotu; ale ciekawi Nubijczycy i Bongowie nie puścili go, dopokąd nie popisał się przed nimi kilku tańcami wojennemi. Wysokość jego wzrostu wynosiła 1 meter; miał brzuch duży i obwisły i chude nogi; ale mimo to był bardzo zręczny i niesłychanie ruchliwy. Obietnica podarunków zwabiła następnych dni jeszcze kilku innych gości tej rasy, które dokładnie zmierzono i odportretowano; ale niestety nie udało się podróżnym zobaczyć ani jednego egzemplarza żeńskiego przez cały czas kilkotygodniowego pobytu u króla Munsy. Natomiast wystąpiło przy pewnej sposobności kilkuset wojowników z pokolenia Akka, którzy towarzyszyli bratu Munsy, królowi Mumeri, gdy ten powróciwszy z wyprawy wojennej, oddawał swemu bratu część łupów. Schweinfurth powrócił był właśnie z jakiejś wycieczki, i małe te osóbki, staczające przed nim pozorne walki, wydały mu się swawolnemi chłopcami, i dopiero od swoich towarzyszy dowiedział się, że to są T i k i t i k i, to jest mężowie umiejący walczyć. Ale już nazajutrz zniknął cały ten tabor wojenny jakby fantastyczne widziadło w ciemnościach Afryki środkowej. Na usilną prośbę otrzymał turysta od króla Munsy jednego karła w podarunku, i pielęgnował go pomimo jego nieprzyzwoitych nałogów jak najtroskliwiej; ale w półtora roku potem zginął ten człowieczek skutkiem obżarstwa na dysenteryą. Pokolenie Akka zdaje się stanowić ogniwo w długim łańcuchu ludów, które mając wszelkie znamiona rasy pierwotnej, rozciągają się po całej Afryce środkowej; a nawet starożytne kroniki wspominają już o szczepach karłowatych, które maleńkim wzrostem i jasnoczerwoną cerą odróżniały się od swoich sąsiadów.

(K o l e j ż e l a ż n a p r z e z K o r d y l i e r y). Jak donoszą z Limy, będzie już i południowa Ameryka w najbliższym dziesiątku lat miała swój tunel à la Mont Cenis. Pewien znakomity inżynier, Juan de Quartel, pozyskał pewną liczbę znacznych kapitalistów dla budowy kolei żelaznej, o której dozwolenie poczyniono już potrzebne kroki u rządu. Kolej to ma iść z Payty, głównego portu między Panamą i Callao, do Sukany, dalej przerzynać będzie pod Huasuamba Kordyliery tunelem o podwójnych szynach, pod Bellaqiustą przekroczy rzekę Amazonek, a skończy się pod St. Cruz, gdzie Huallaga wpada do rzeki Amazonek. Z r. 1883 ma być dzieło ukończone, co wywoła zaraz nową linią żeglugi parowej na wspomnionej olbrzymiej rzecze, i urządzoną zostanie najkrótsza droga między zachodniem wybrzeżem południowej Ameryki a Europą.

Nowe książki.

Teatrzyk dla młodzieży, z oryginalnych prac złożony. Lwów 1873.

Literatura dziecięca bardzo u nas uboga. Podczas gdy wszystkie prawie piśmiennictwa obce obfitą bibliografią w tym kierunku wykazaćby się mogły, u nas na gwiazdkowe podarunki, na nagrody i zachęty dla dziatwy, na pułkach księgarskich, pomiędzy legionami wydawnictw francuzkich i niemieckich, ledwo kilka dziełek polskich dla młodego pokolenia znaleźć można. Jeszcze dla młodych dziewczątek większą liczbę prac możnaby narachować: Hofmanowa, Wojnarowska, Machczyńska, że wielu innych nie wspomnę, piękne na tem polu położyły zasługi; ale maleńcy przyszli obywatele kraju nie mają dotychczas niestety zbyt licznej biblioteki dla siebie. Żywiliśmy się dotąd Jachowiczem i przekładami z obcych języków, niezawsze szczęśliwie dokonanemi. W ostatnich dopiero czasach, szczególniej dzięki usiłowaniom pp. Gebethnera i Wolfa w Warszawie, pojawiła się znaczniejsza ilość utworów dla drobnej i dorostającej młodzieży obojga płci. PP. Chęciński, Anczyc i Bełza, wypędzają powoli z domów polskich franzuskie „Contes de Feés i zastępują je, w części oryginalnemi, w części naśladowanemi lub doskonale i tłumaczonemi i zastosowanemi pracami. Ten ostatni szczególniej na tem polu właściwe i istotne położył zasługi.

Usiłowania pod tym względem wydawców i pisarzy pilnie i wdzięcznie liczyć im wypada. — Nie zastrasza ich bowiem obojętność ogółu, dotychczas nie pojmującego znaczenia piśmiennictwa dla dzieci, obojętność, której dowodem jest niedawny upadek wybornie redagowanego „Promyka“, oraz ledwie wegetujące życie „Przyjaciela Dzieci“ w Warszawie i w Poznaniu.

Wytrwałość zaś tę czerpią niezawodnie w gruntownem zrozumieniu roli, jaką gra dobrze napisana książka w etycznem i estetycznem wychowaniu dziecka.

Szczególniej jednak jeden dział tej literatury dziecięcej w zupełnem dotąd u nas zostawał zaniedbaniu. Mówimy tu o teatrzyku dziecięcym. Ktokolwiek wspomni sobie arkadyjskie lata swoje, pamiętać musi, jak żywo i kusząco ten rodzaj zabawy oddziaływał na niego. Pod formą dramatyczną łatwiej i naturalniej podaje się pokarm moralny dziecku. Morał nie siedzi tu na końcu wiersza, jak w bajkach Jachowicza, ani w długich nużących uwagę dziecka kazaniach i tyradach się zawiera; wypływa on z akcyi, toczącej się wpośród świata dziecięcego, i przedstawiającej w żywym obrazie tego maleńkiego światka wady, namiętności, popędy. Przykład wyrazistszy tutaj, przedstawienie mocniej zajmujące. Nie wspominamy już o ćwiczeniu pamięci, idącem w ślad za tą nauką i zabawą razem. Pobratymcy nasi Czesi zrozumieli już dawno korzyści, jakie z tej formy dla młodzieży wyciągnąć można. W Pradze wychodzi oddzielne wydawnictwo utworów dramatycznych dla młodzieży, do którego przyłożyć rękę nie wstydzą się pierwszorzędni tamtejsi pisarze. To też niektóre ze znajdujących się w tym zbiorze utworów, jak „Kral Lileputansky“, jak „Ślepa babicka“, są brylantami prawdziwemi i źródłem, które wskazujemy pracownikom dla młodzieży

U nas jednym z pierwszych kroków na tem polu jest książka, z powodu której kilka powyższych uwag napisaliśmy.

W książce tej znajduje się okrom informacyi do urządzenia teatrzyków domowych i niektórych sekretów technicznych dla młodych aktorów, sześć jednoaktowych sztuczek, zastosowanych dla drobnej i dorastającej młodzieży. Język w nich czysty, akcya prosta i żywa, względy etyczne troskliwie zachowane, interes w całym biegu utrzymany. Niektóre, jak „Sekret Tadzia“, osnuty na wspomnieniu Tadeusza Czackiego, piękny przykład podają; inne, jak udatny monodramik p. Aurelego Urbańskiego: „Boli główka szkolna wymówka“, z głębi serca dziecięcego wyjęte; inne, jak „Ochronka“, z piosnkami zręcznemi połączone. Wszystkie łatwo przedstawić i obsadzić się dają. Polecamy tę książeczkę rodzinom polskim z całego serca; stanowić ona może piękny upominek dla dzieci, a niezawodnie stanowić będzie dla nich korzystną i przyjemną zabawę.

Poczta »Strzechy.«

Panu S. W. w Sok. pod U. Z przyjemnością wyznajemy, że z wierszy pańskich miłe odnieśliśmy wrażenie, gdyż wiele w nich szczerego, tkliwego uczucia i prostoty wyrażeń, a forma, lubo niezawsze gładka, zdradza jednak znajomość języka i budowy słowa wiązanego. Bez wątpienia masz pan talent poetycki, tudzież zmysł artystyczny; opowiadanie „pod Chocimem“, jakkolwiek wątłe jeszcze w całości, zawiera miejsca bardzo gładko przeprowadzone, a do takich zaliczamy przedewszystkiem ustęp końcowy. Utwor ten po należytem ogładzeniu zasługiwałby na wydrukowanie. Wogóle pióro pańskie, zdaniem naszem, powołane jest do formy epicznej. — Z nadesłanych nam wierszy wybierzemy w każdym razie jeden do druku, poczyniwszy w nim pewne poprawki. — Za podaniem nam nowego swego adresu możesz pan otrzymać manuskrypt poematu „Pod Chocimem“ z uwagami referenta redakcyi.

Panu A. W. Ł. w R. Wierszyk pański nie dość wyraźnie oddaje myśl autora, czego powodem forma, śmiała wprawdzie i dowodząca poczucia muzykalnego, lecz tem samem niebezpieczna dla młodego wieku pióra, bo łatwo sprowadzająca je z toru logiki na manowce. Pożądaną jest większa prostota w malowaniu uczuć i jasność refleksyi. Język jeszcze twardy i grzeszący czasem gramatyką; jak np. w wyrażeniu: żal miłości nie zdarłby kwiat.“ — Z wrażeń karpackich może pan nam spokojniejszy odmalujesz obrazek? Zacięcia poetyckiego nie brak.

Panu Bol. Jul. Szlachetna myśl, odznaczająca wierszyk pański, nie stworzy sama przez się utworu sztuki, jakim wiersz być powinien. Nie pokonałeś pan jeszcze trudności formy i nie poznałeś języka o tyle, aby uniknąć rażących usterek przeciw gramatyce, których jest bardzo wiele w „Chwili odrodzenia.“ Szczędząc miejsca nie przytaczamy takowych, możesz pan atoli także odebrać w księgarni p. Richtera manuskrypt swój, gdzie je znajdziesz wytknięte. — Że pan mógłbyś z czasem pisywać dobre wiersze, świadczy n. p. ta zwrotka „Chwili odrodzenia:“

Lecz zamiast broni ukutej ze stali,
Z ducha narodu powstała broń nowa;
Broń, jaką wielcy nasi wojowali:
Wytrwała praca — i oświaty słowa!

Panu J. D. C. we Lwowie. „Róże i lilie“ żadną miarą nie zasługują na wydrukowanie. Za tę krótką odpowiedź, pewni jesteśmy, będziesz pan nam wdzięczny kiedyś...

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą F. H. RICHTER.

Z DRUKARNI NARODOWEJ W. MANIECKIEGO.